MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XVII. Nr. 27 WARSZAWA, 4 LIPCA 1937 R. CENA NUMERU 80 GR.

WYJĄTKOWA CHWILA

PIELGRZYMKI na Jasną Górę stały się w Polsce popularne. Stają tam w ordynku po kolei — obok nieustannie ciągnących pieszych pielgrzymek ludu — akademicy, ziemianie, robotnicy chrześcijańscy, nauczyciele, rzemieślnicy. Już zapowiadają pielgrzymkę wojskową i inwalidzką. Za tymi pójdą niewątpliwie dalsze.

Nie pomniejszając znaczenia żadnej z jasnogórskich manifestacyj—wydaje się nam jednak, iż dwie z nich mają znaczenie wyjątkowe — to ślubowanie młodzieży szkół akademickich i nauczycielstwa.

Pragniemy przyjrzeć się bliżej tej drugiej pielgrzymce, jako podejmowanej po raz pierwszy.

Organizowanie pielgrzymki nauczycielskiej szło powolniej i oporniej, niż innych. Powód zrozumiały i prosty: Na około 70 tysięcy nauczycielstwa szkół powszechnych około 50 tysięcy należy do Związku Nauczycielstwa Polskiego, a Związek pielgrzymki nie tylko nie poparł, ale od początku odniósł się do niej negatywnie, częściowo obojętnie, częściowo niechętnie, a tu i ówdzie nawet wrogo.

Z inicjatywą pielgrzymki wystąpiło Stowarzyszenie Chrześcijańsko-Narodowych Nauczycieli Szkół Powszechnych. Już ten jeden fakt wystarczył, aby związkowcy od pielgrzymki stronili. Były jednak nietylko te formalne, drobne, konkurencyjne przyczyny negatywnego ustosunkowania się Związku do manifestacji religijno-narodowej nauczycielstwa. Główną przyczyną jest lewicowe, antyreligijne i — jak oni sami najchętniej mówią i piszą—antyklerykalne nastawienie władz Związku. Przyczyny więc tkwią bardzo głęboko.

Nie zdradzimy żadnej tajemnicy, jeśli stwierdzimy, iż Związek Nauczycielstwa Polskiego jest silnie przesiąknięty masonerią a w swych wszystkich wystąpieniach wręcz małpuje zagraniczne wystąpienia masonerii i wolnomyślicieli.

Masoneria głosi świeckie wychowanie. Masoneria dąży do państwowego monopolu szkolnego, opartego o przymus szkolny, i do odpowiedniego rozbudowania t. zw. szkoły jednolitej. Masoneria dąży do usunięcia nauki religii ze szkoły i z wychowania. Masoneria rozbudowuje organizacje poza szkolne pod kontrolą państwa. Masoneria zwalcza nacjonalizm.

Nie cytuję tu, jako dowodów na te twierdzenia, protokułów z francuskich i międzynarodowych masońskich konwentów. Kto ich ciekaw, ten znajdzie ich mnóstwo w książce A. G. Michel'a p. t. „Państwo w okowach masonerii". Czytając je, odnosimy trochę jednostronne wrażenie, iż masoneria istnieje głównie po to, aby opanować szkolnictwo i aby dzieciom wyrwać z serca wiarę w Boga.

Tak wielkie znaczenie przywiązuje masoneria do opanowania szkoły i wychowania.

Kto pod kątem zgodności masońskich żądań w wielu krajach z takimi żądaniami w Polsce śledzi posunięcia Związku Nauczycielstwa Polskiego, Związku Bibliotekarzy i t. p. organizacyj oświatowych i szkolnych—ten spostrzeże łatwo bliźniacze wręcz podobieństwo tych żądań. Szkoła jednolita w wydaniu braci Jędrzejewiczów, walka z wpływem katechetów w szkołach, usuwanie i zmniejszanie ilości godzin religii, niechęć dla szkolnictwa prywatnego, walka z prądem i wychowaniem narodowym, a podsuwanie w to miejsce wychowania państwowego, projekty narzucenia państwowych lub samorządowych bibliotek z naturalną w takich warunkach centralą zakupu książek, próby narzucenia gminnych komisji oświaty i kultury pod nadzorem inspektora szkolnego, instruktora oświaty pozaszkolnej — oto bynajmniej niepełny wykaz usiłowań grup masońskich na gruncie polskim. Często, jakże często, współdziałali w realizacji tych postulatów ludzie umiarkowani, a nawet religijni. Za reformami braci Jędrzejewiczów głosowali w Sejmie i Senacie księża i konserwatyści z klubu B. B. Do Związku Nauczycielstwa Pol-

skiego należeli do niedawna dość licznie nawet prefekci. Nie jestem pewny, czy jeszcze i obecnie nie znalazłbym ich tam w drobnej już ilości.

W ciągu paru lat ostatnich zmieniła się gruntownie sytuacja polityczna świata, a ta z kolei zaczyna wywierać swój wpływ na rolę kościoła katolickiego w bardzo wielu państwach.

Masoneria, oparta o lewicę, montująca bez trudu „fronty ludowe" aż do komunistów włącznie, czas długi lekceważyła prądy narodowe. Wśród wielu uchwał konwentów masońskich, są oczywiście i takie, jak uchwała z sierpnia 1933 r., żądająca „walki z faszyzmem, którego wspólnikiem są Kościoły", ale i na tym zjeździe główne uchwały poświęcone są jeszcze walce z Kościołem i religią, oraz świeckości wychowania i wszystkich urządzeń państwowych. Lata ostatnie przekonały jednak zarówno masonerię, jak i ściśle polityczną lewicę, że prądy narodowe są dla nich szczególnie groźne. Chcąc je osłabić czy pokonać, trzeba oglądnąć się za sojusznikami, trzeba zmienić taktykę. Dawny rozkaz masonerii, aby bić naraz i katolików i nacjonalistów został poddany rewizji.

Dla czysto taktycznych względów Komintern zalecił sekcjom swoim w poszczególnych państwach używanie (raczej nadużywanie) haseł narodowych i katolickich i wciskanie się działaczy komunistycznych do organizacyj narodowych i katolickich. Dla taktyki główny wódz komunistów francuskich, Thorez, wołał niedawno: „wyciągamy do ciebie dłoń, katoliku-robotniku, rzemieślniku i chłopie, gdyż jesteś nam bratem. Wyciągamy do ciebie dłoń, ochotniku narodowy, b. kombatancie, który stanąłeś w szeregach „Krzyżów ognistych", gdyż jesteś synem naszego ludu".

Totalizm typu niemieckiego i rosyjskiego, mający i gdzieindziej zwolenników, zaniepokoił nietylko masonerię. Kościół katolicki, z zupełnie innych wychodząc założeń, wypowiedział się i przeciw rasizmowi. Kościół sam jeden w Rzeszy Niemieckiej okazał się siłą moralną, zdolną do oporu. Te fakty sprawiły, że masoneria specjalnie masoneria francuska, zmieniła taktykę wobec Kościoła. Ci sami ludzie, którzy w latach 1929 i 1930 przeprowadzali w łożach Wielkiego Wschodu Francji czystkę, usuwając tych masonów, którzy dopomogli lub ułatwili rządowi Tardieu'go przeprowadzenie ustawy o pozwoleniu na powrót do Francji niektórych kongregacyj, którzy z pianą na ustach domagali się zniesienia ambasady przy Watykanie i zrzeczenia się przez Francję protektoratu katolickiego na Bliskim Wschodzie — teraz w *„Ere Nouvelle"* i w *„Populaire"*, domagają się złagodzenia walki i pacyfikacji stosunków. Premier Blum, mason, odwiedza nuncjusza papieskiego, jego podsekretarz stanu, pani Brunschwieg, prosi Ojca św. o audiencję i—nikt się na to w łożach nie oburza. Do Francji jedzie kardynał sekretarz stanu Pacelli nie tylko dla przewodniczenia uroczystościom religijnym w Lissieux. Po ich zakończeniu kard. Pacelli będzie w Paryżu, gdzie już zapowiedziano jego konferencje z prezydentem Republiki i z rządem. Cóżby to za gwałt podniosła masoneria jeszcze rok temu.

W r. 1904 międzynarodowy zjazd masoński w Rzymie proponował Papieżowi, aby się uznał za zwyciężonego...

Nie jest to objaw tylko francuski. Kto chce patrzyć, ten i w Polsce dostrzeże wiele ciekawych, podobnych objawów. Obserwujemy i u nas „flirt z klerem".

Na tym tle pielgrzymka nauczycielska na Jasną Górę nabiera specjalnego zabarwienia.

Przeszliśmy parę lat silnej walki z prądami rozkładowymi w Polsce. Zło, płynące z anarchii życia gospodarczego, społecznego, politycznego, otwarło oczy wielu. Ale szczególnie wypadki w szkolnictwie pobudziły ludzi do myślenia. Owe 2000 godzin religii tygodniowo, zniesione w szkołach diecezji lwowskiej, 500 godzin w diecezji przemyskiej i gdzieindziej. Owe odezwy Związku Nauczycielstwa Polskiego, rzucające anatemy na Akcję katolicką, na Macierz Szkolną, na Obóz narodowy! Owe Straże Przednie w gimnazjach, a Legion Młodych i Młodzież Demokratyczna na wyższych uczelniach. Owe wypadki w Święcianach, w Chełmie, w Białej! Owe butne zapowiedzi prezesów Związku, iż przeżyją listy pasterskie XX. Biskupów. Owe „Płomyki" i książki dydaktyczne i pedagogiczne. Wszystko to rązem wytworzyło w szerokich masach nastrój wrogi tym prądom rozkładowym.

Tak się złożyło, że i polski Ozon potrzebuje skrzydeł opiekuńczych. Zyskać poparcia kleru nie można bez—dowodu szacunku i uznania praw Kościoła katolickiego. Dlatego widzimy ustęp życzliwy dla Kościoła w deklaracji pułk. Koca. Dlatego min. Świętosławski jedzie na Kongres Eucharystyczny do Poznania. Dlatego prymas ks. Hlond otrzymał tak serdeczne zaproszenie na uroczystość wręczenia buławy marsz. Śmigłemu-Rydzowi. Dlatego nawet w jubileuszu ks. arcybiskupa Teodorowicza wzięły udział czynniki miarodajne.

Takich „dlatego" moglibyśmy cytować wiele. Ale właśnie, dzięki temu, że tych „dlatego" było dość wiele, mianowani szefowie lokalni Ozonu zaczynali swoje wizyty od — prezesów Akcji katolickiej, usiłując (najczęściej bezskutecznie) wciągnąć ich do zarządów nowej organizacji,

Nie wszędzie jednak to zrozumienie i wyczucie nowej orientacji już doszło, nie wszędzie znalazło uznanie. W szczególności Związek Nauczycielstwa Polskiego w oświadczeniach prezesa Kolanki i wiceprzewodniczącego sekcji organizacyjnej Wycecha z przed dni niewielu zapowiada dalszą walkę o szkołę międzywyznaniową, niezależną od kleru różnych wyznań, i o szkołę jednolitą państwową, a przeciw szkolnictwu prywatnemu.

Nie mamy ani na chwilę wątpliwości co do stanowiska Kościoła katolickiego w tej nowej sytuacji. Nie złudzą go ani nie zmylą zaloty i kadzidła masonerii i rządów lewicy. Nie da się użyć do walki ze zdrowym, organicznym nacjonalizmem, a przeciwnie — poprze go. Pozostawmy więc stanowisko Kościoła z całym spokojem poza naszymi rozważaniami.

Byłoby jednak z naszej strony błędem, gdybyśmy nie wyzyskali wytworzonej sytuacji i nie oczyścili pola, zwłaszcza pola oświaty i wychowania, z wpływów masonerii. Wytworzyła się w kraju świadomość szkodliwości masonów i ich ognisk. Jedno z nich, Liga Praw Człowieka, już zostało rozwiązane. Drugie, Związek Nauczycielstwa Polskiego, jest mocno zdepopularyzowane. Trzeba dopomóc organizacjom katolickim i narodowym do uzyskania przewagi na terenie wychowawczym. Trzeba zdemaskować wszystkich wrogów wychowania katolickiego i narodowego i unieszkodliwić ich. A co najważniejsze — trzeba postawić jasno

i bezkompromisowo zasady wychowania katolickie i narodowe jako obowiązujące wszystkich wychowawców.

Czas na przeprowadzenie wielkiej kampanii, tym sprawom poświęconej, jest wyjątkowo dobry.

Wedle prowizorycznych obliczeń w jasnogórskiej pielgrzymce nauczycielskiej wzięło udział około 10 tysięcy członków i członkiń Związku Nauczycielstwa Polskiego. Jasny to dowód na twierdzenie, że masońskie i lewicowe są tylko szczyty tej organizacji. Jaskrawa to zachęta do wyciągnięcia ręki do szeregów nauczycielskich, aby się wyzwoliły z tej szkodliwej zależności i jawnie stanęły w szeregach katolickich i narodowych.

Do pielgrzymki jasnogórskiej przyłączyli się samorzutnie profesorowie szkół średnich, zawodowych i akademickich. Mamy w tym fakcie znowu dowód na nastroje, jakie panują wśród nich.

Zmarnowanie tej wyjątkowo pomyślnej koniunktury byłoby wielkim błędem. Byłoby ciężkim grzechem i wobec młodzieży i wobec narodu.

STANISŁAW RYMAR

Z CYKLU „POLSKA NA MORZU"

TWORZENIE MARYNARKI W 1863 R.

ZAGADNIENIE morskie podczas powstania 63/4 r. wypływało dwukrotnie. Po raz pierwszy w marcu 1863 r. — wyprawa Łapińskiego pod Kłajpedę — i po raz drugi w czerwcu tegoż roku, kiedy książę Władysław Czartoryski, agent dyplomatyczny polskiego rządu narodowego w Paryżu, zakupił dwa statki handlowe, które pod polską banderą miały zawinąć na Maltę. Kupno tych statków („Samson'a, nabytego w Konstantynopolu, i „Princess", zakupionego w Newcastle) miało genezę następującą: angielski minister spraw zagranicznych, lord Russel, oświadczył w Londynie wysłannikowi polskiemu, hrabiemu Władysławowi Zamojskiemu, że rząd Wielkiaj Brytanii uzna powstańców za stronę wojującą, jeżeli okręt powstańczy zawinie do jakiegokolwiek bądź portu brytyjskiego. Początkowo szło więc powstańcom o wystawienie okrętów jedynie dla celów dyplomatycznych, zagadnienie to jednak wzięło zupełnie inny obrót, kiedy w Paryżu zjawił się w jesieni 1863 r. komandor-podporucznik rosyjskiej marynarki wojennej, Władysław Zbyszewski, przybywający z Dalekiego Wschodu w celu wstąpienia do szeregów powstańczych.

Zbyszewski, dobry żołnierz i wykwalifikowany marynarz, zgłosił się do Czartoryskiego z zupełnie realną propozycją wykorzystania obu zakupionych statków nie dla dyplomatycznej podróży na Maltę, lecz dla rozpoczęcia wojny kaperskiej przeciwko Rosji na morzach Bałtyckiem i Czarnem. Zwłaszcza morze Czarne, zdaniem Zbyszewskiego, nadawało się go tej akcji, albowiem Rosja, w myśl postanowień traktatu Paryskiego z 1856 r., kończącego wojnę Krymską, nie posiadała na tym morzu marynarki wojennej, natomiast uprawiała ożywioną żeglugę handlową przez morze Czarne z Bliskim Wychodem. Poza tem na Kaukazie wrzała zaciekła walka z miejscowymi góralami, popieranymi po cichu, lecz bardzo wydatnie, przez rządy angielski i turecki, a walcząca z góralami armia rosyjska miała w swych szeregach do 40% Polaków, bądź wziętych z poboru, bądź zesłanych na Kaukaz za przestępstwa polityczne. Pomoc anglo-turecka wyrażała się zasadniczo w dowożeniu broni i amunicji (przeważnie drogą morską), a żywioł polski w rosyjskich korpusach kaukaskich był, z natury rzeczy, nastrojony bardzo niechętnie do walki z góralami, i można było spodziewać się znacznej dezercji z chwilą pojawienia się kaprów polskich na morzu Czarnem. Wreszcie, rząd francuski patrzył się nader nieprzychylnie na rosyjską ekspansję handlową wychodzącą na morze Śródziemne, i dążył, za pośrednictwem powstańców, do zniszczenia Odesy, głównego ośrodka rosyjskiego ruchu żeglugowego na Lewant.

Latem 1863 r. francuskie ministerium spraw zagranicznych wyasygnowało nawet Czartoryskiemu 300,000 franków na urządzenie odpowiedniej wyprawy. Zatem w polskiej akcji kaperskiej na morzu Czarnem można było liczyć na pomoc Anglii w dostarczaniu odpowiednich statków, Francji w udzielaniu środków finansowych i Turcji w korzystaniu z jej portów. Działania kaperskie, polegające na chwytaniu bezbronnych statków rosyjskich, były rzeczą łatwą i bezpieczną, wobec braku rosyjskiej floty wojennej. Straty pieniężne, jakie można było przyczynić Rosjanom, wydawały się znaczne, a wrażenie moralne na rosyjskich wojskach kaukaskich — duże. Te względy polityczne, strategiczne i taktyczne rokowały działaniom kaprów polskich na morzu Czarnem skutek pomyślny, a akcja kaperska mogła się stać znaczną dywersją na polu walki w Kongresówce i Kresach Wschodnich.

Książę Czartoryski plan Zbyszewskiego zaakceptował i przedstawił go dyktatotowi Romualdowi Trauguttowi, który, jako fachowiec wojskowy, uznał projekt za całkowicie wykonalny. Przystąpiono niezwłocznie do utworzenia odpowiedniej komórki organizacyjno-administracyjnej, i 25 października 1863 r. powstała w Paryżu Organizacja Główna Sił Narodowych Morskich. Na czele jej stanął Zbyszewski pod pseudonimem Feliksa Karpia, z tytułem Organizatora Generalnego Floty Narodowej. Była ona podporządkowana bezpośrednio agentowi wojskowemu przy agencie dyplomatycznym w Paryżu, pułkownikowi Eugeniuszowi Dębińskiemu (pseudonim Kot). Przy organizatorze generalnym znajdował się komisarz rządu narodowego, hrabia Rozwadowski (pseudonim Florestan).

Zbyszewski w gruduiu 1863 r. opuścił Paryż, udając się do Newcastle, gdzie przerabiano „Princess" na okręt wojenny „Kiliński", a przy Dębińskim pozostał zaangażowany jeszcze w czerwcu przez Czartoryskiego francuski komandor Andrzej Magnan, który miał zająć się przerobieniem na okręty wojenne jeszcze dwóch statków handlowych. „Kiliński" odkotwiczył pod angielską banderą w Newcastle w pierwszych dniach lutego

1864 r., lecz został zaaresztowany w Maladze przez władze hiszpańskie na skutek prośby rządu rosyjskiego. Gabinet petersburski został poinformowany o podejrzanym charakterze „Kilińskiego” przez rząd Stanów Zjednoczonych, toczący wówczas wojnę Secesyjną i nie spuszczający oka ze stoczni brytyjskich, które ciągle dostarczały okrętów Południowcom. Waszyngton był podówczas w bardzo dobrych stosunkach z Petersburgiem, nastawionym wrogo do Londynu i Paryża, które uznały niedawno Południowców za stronę wojującą. Zaaresztowanie „Kilińskiego” nastąpiło 12 lutego, lecz został on uwolniony, na skutek interwencji miejscowego konsula Wielkiej Brytanii, dopiero 18 czerwca, przyczem Hiszpanie skonfiskowali całe uzbrojenie okrętowe.

Zbyszewski nie zraził się pierwszem niepowodzeniem, lecz pracował gorączkowo dalej, przybierając sobie do pomocy Szweda, niejakiego Mengla, i swego dawnego podkomendnego, kapitana Kossaka. W marcu były uruchomione agencje kaperskie w Australii (Melbourne), Ameryce (Nowy Jork i San Francisco) oraz Azji (Szanghaj). Jednocześnie działano we Włoszech, zwracając się do miejscowych żywiołów wywrotowych (Caroli, Cripsi i Mordini). Poprzednio jeszcze została wydana szczegółowa organizacja sił zbrojnych na morzu oraz instrukcje dla agentów. Atoli w kraju już gasło powstanie, a uwięzienie Traugutta na wiosnę 1864 r. zadało mu cios stanowczy. Łącznie z upadkiem powstania upadły i wysiłki morskie. Latem organizacja główna już nie działała. Akcja była skończona.

W zbiorach Rapperswilskich zachowały się liczne źródła do wysiłków Zbyszewskiego, mających na celu uruchomienie polskiej floty kaperskiej. Źródła te częściowo były wykorzystane przez Augusta Sokołowskiego w „Powstaniu Styczniowem” oraz przez Stanisława Zielińskiego w jego licznych artykułach, dotyczących powstania 1863/4 r. i naszych wysiłków morsko-kolonialnych. Do najbardziej cennych, bo podstawowych z punktu widzenia organizacyjnego, dokumentów należą: 1) przepisy o organizacji sił zbrojnych morskich z 1 lutego 1864 r. i 2) instrukcje dla agentów.

Przepisy zawierają 28 artykułów. Z tych 1-16 dotyczą obowiązków i uprawnień organizatora generalnego, 17—26 mówią o dowódcach okrętów, a 27—28 zawierają zakres czynności komisarza rządowego. Są one tu podane *in extenso*.

„Art. 1. Organizator generalny zakończy w najkrótszym czasie przygotowania do wyprawy.

2. Bierze dowództwo statków, któremi obecnie rząd narodowy rozporządzać może.

3. Rozpocznie kroki nieprzyjacielskie jak największemi można siłami, a skieruje działania mianowicie na statki wojenne moskiewskie. Jeśliby jednak statki polskie, przed zetknięciem się ze statkami moskiewskiemi wojennemi, spotkały statki kupieckie, powinny je zabierać lub niszczyć, jeśli je w bezpieczne miejsce uprowadzić nie mogą. — Baczyć wszakże, żeby wraz ze statkiem nie niszczyć własności, do neutralnych należącej.

Starać się statki zdobyte, o ile możności, uzbrajać, ażeby przeciwko Moskalom obrócić je można było.

Jeśli liczba statków naszych pozwoli podzielić siły morskie nasze, organizatorowi generalnemu służy prawo tak nominowania tymczasowych dowódców statków i innych oficerów i urzędników morskich, z warunkiem przedstawienia tych nominacyj rządowi narodowemu do zatwierdzenia, jak dzielenia floty na eskadry.

4. Oficerowie i urzędnicy morscy, tymczasowo przez organizatora generalnego nominowani, nie czekając na potwierdzenie nominacyj swych przez rząd narodowy, pełnią natychmiast obowiązki, do urzędów, na które ich przeznaczono, przywiązane.

5. Przed przedsięwzięciem wyprawy organizator generalny wzywa na radę wojenną dowódców eskadr, dowódców statków, komisarza rządu narodowego. Radzie tej prezyduje organizator generalny, komisarz rządu narodowego asystuje. Ostatecznie rozstrzygają kwestie wątpliwe organizator i komisarz rządowy.

6. Flaga [1]) statków polskich będzie dwukolorowa, biała i amarantowa z herbem takim, jakiego rząd narodowy na pieczęciach swoich używa.

Znak [2]) ramię białe, mieczem uzbrojone w amarantowem polu.

Banderola [3]) biała i amarantowa.

7. Wszelkim statkom polskim zakazuje się walczyć pod innemi znakami. Za przekroczenie tego przepisu dowódcy, dopuszczający się winy, do surowej odpowiedzialności pociągnięci zostaną.

8. Przy podziale zysku ze sprzedaży statku lub towarów zdobytych następujące należy zachować prawidła:

9. Po odtrąceniu kosztów sprzedaży zysk dzieli się na cztery równe części, z których $^1/_4$ bierze rząd narodowy, a $^3/_4$ osada statku zdobywającego.

10. Za zdobycie statków wojennych parowych rząd narodowy płaci osadzie statku zdobywającego sumę 10,000 franków za działo, za statek żaglowy — w stosunku 5,000 franków za działo.

11. Jeśli organizator generalny uzna za stosowne uzbroić zdobyty statek kupiecki, rząd narodowy obowiązany będzie zapłacić osadzie statku zdobywaiącego $^3/_4$ jego wartości. Sumy, które się od rządu narodowego osadom w moc artykułów 10 i 11 zawartych, należeć będą, mają się odtrącać od części zysków, które na rząd ze sprzedaży zdobyczy następnych przypadną.

12. Jeżeli statek zdobywający składa część dywizji, osady innych statków mają prawo do $^1/_3$ zysku ze zdobyczy, część rządu narodowego, nietkniętą zostawiając, choćby w boju bezpośredniego udziału nie miały. Jeśli statek był wykomenderowany z eskadry dla osobnego działania, w takim razie osada jego nie dzieli się zdobyczą z osadami innych statków.

13. Sumy, rządowi narodowemu z podziału zdobyczy należne, przeleją się do kasy komisarza rządu narodowego przy organizatorze generalnym.

14. Gdyby organizator generalny wynalazł armatorów, którzyby się zobowiązali dostarczyć sum potrzebnych, armatorowie ci, po dostarczeniu sum i wyprawieniu statków, nabiorą prawa do tej

---

[1]) Obecnie bandera.

[2]) Obecnie proporzec, podnoszony na dziobie okrętu.

[3]) Obecnie znak, podnoszony na szczycie wielkiego masztu.

części zysku ze zdobyczy, jaka się rządowi narodowemu należy.

15. Rząd narodowy, powierzając marynarzom polskim flagę narodową, przypomina im, że tylko prawością i ludzkością, nietykalnością własności neutralnej, nieskalaną jej cześć utrzymać mogą.

16. Dzisiejszy kodeks karny francuski na flocie polskiej obowiązywać ma we wszystkich przypadkach, niniejszą nieokreślonych instrukcją.

17. Przed wypłynieniem statku na morze organizator generalny doręczy dowódcy tegoż statku dokładne instrukcje, w których przepisy niżej wymienione i przepisy kodeksu morskiego ściśle zachowane będą.

18. Dowódcy statków winni są nieograniczone posłuszeństwo rozkazom organizatora generalnego i pod żadnym pozorem nie mogą ich zmieniać, ani modyfikować.

19. Dowódcy eskadr mają prawo rozdzielania ich; uzbrajania statków kupieckich zdobytych, za zdatne do użycia w boju uznanych, mają prawo nominowania oficerów, aż do stopnia kapitanów; dawania im dowództwa, zważając na starszeństwo. W razach, kiedy są zmuszeni od ostatniego prawidła odstąpić, obowiązani są nadmienić powody w raporcie do organizatora generalnego.

20. Oficerowie, mianowani na dowódców statków lub eskadr, wchodzą natychmiast po ogłoszeniu przez organizatora generalnego w rozkazie dziennym ich nominacyj, w prawa i atrybucje do ich urzędów przywiązane.

21. Dowódcy mają prawo zawiesić podwładnego w służbie, z warunkiem zawiadomienia o tem organizatora generalnego z przytoczeniem powodów tego postąpienia.

22. W razach stanowczych tylko, albo na rozkaz organizatora generalnego mogą wchodzić w stosunki lub korespondencję z urzędami i agencjami cywilnemi organizacji narodowej.

23. Jeśli organizator generalny bierze sam dowództwo statku lub eskadry, oficerowie przechodzą pod jego rozkazy. Organizator generalny liczy się zawsze starszym w służbie i w stopniu.

24. Dostawców rozmaitych potrzeb dla floty mianuje komisarz rządowy.

25. Dowódcy wszelkiego stopnia powinni korzystać z każdej sposobności, ażeby przesyłać organizatorowi generalnemu szczegółowe raporty o stanie swych statków, również o stanie osady i ich potrzebach. Potrzebne do tego formularze rozdane będą dowódcom.

26. W przypadkach, tą instrukcją nieokreślonych, dowódcy zastosować się winni do kodeksu morskiego, a mianowicie do paragrafu: *„Du commendant en chef et des officiers généraux et de chefs des division employés en sous-ordre“*.

W stosunkach zaś z organizatorem generalnym, tą instrukcją nieokreślonych, dowódcy zachowają przepisy, tyczące się stosunków dowódców z ministrem marynarki.

27. Komisarz rządowy pełni przy organizatorze generalnym i przy flocie polskiej obowiązki intendenta generalnego.

Zawiaduje kasą, rachunkowością, dostawami i administracją.

28. Stosunki komisarza rządowego z organizatorem generalnym uregulują się tak, żeby go w razie śmierci lub lub nieobecności komisarz rządowy mógł czasowo zastąpić".

Instrukcje, wydane po polsku i angielsku, zawierają 12 artykułów. Brzmią one następująco:

„Agenci głównej organizacji sił polskich na morzu, w wypełnianiu swych obowiązków, następujących trzymać się będą przepisów:

Art. 1. Pierwszem ich staraniem będzie w jak najkrótszym przeciągu czasu dopełnić uzbrojeń, na które okoliczności pozwolą w obrębie ich działania.

2. Zatem w krajach, w których działać będą mieli, dołożą starań, by wszelkimi sposobami możliwemi i dozwolonemi zgromadzić jak najwięcej materiałów i ludzi, a to stosownie do przepisów rządu narodowego, tyczących się walki na morzu przeciw Moskwie, objętych instrukcją, wydaną dla organizacji sił polskich na morzu pod datą 1-go lutego 1864 r., której kopia w części, do nich odnoszącej się, przy niniejszem się dołącza.

3. Ponieważ ujścia rzek i porty polskie są zajęte najezdniczemi siłami, rząd narodowy postanowił zbroić statki w jakimkolwiek porcie kuli ziemskiej, gdzie głos sprawiedliwości znajdzie uznanie, i gdzie agenci organizacji sił polskich na morzu znajdą armatorów, chętnych do uzbrojeń, potrzebnych dla obrony praw narodu polskiego, zapisanych w historii i traktatach.

4. Nasi agenci winni legalizować umowy, zawierane z pojedyńczymi kapitalistami lub wspólnikami, którzyby miały zamiar ciągnienia korzyści z funduszów, przez nich udzielonych na zbrojenia statków. Umowy te mają zabezpieczać interes sprawy narodowej z jednej strony, a bezpieczeństwo kapitałów z drugiej, w kształcie kontraktów, zawieranych co do używalności statków i służby ich załóg, tak, aby, nadając statkom charakter polskich wojennych okrętów, zabezpieczały hipotecznie kapitały i zyski przedsiębiorców (*armateurs*) na tychże statkach.

5. Agenci nie będą mogli innych korzyści kapitalistom przyrzekać, jak tylko te, które są objęte artykułami instrukcji rządu narodowego wzwyż wspomnianej, których kopia się dołącza.

6. Dołożą starań, aby do marynarki polskiej wybierać marynarzy zdolnych i prawych, o ile możności Polaków, szczególnie na wyższe stopnie, i żadnej misji nie poruczą, nie porozumiawszy się pierwej z radą, przy agencji ustanowioną.

7. W każdym razie nie będą mogli mianować w imieniu organizatora generalnego na stopnie wyższe nad stopień kapitana fregaty [4]) i będą się zawsze ograniczać do kadrów rzeczywiście uzbrojonych statków w obrębie agencji. Tak, żeby oficerowie mianowani byli realnymi dowódcami sił, któremi komenderować mają. Każda zaś nominacja na stopień, temiż kadrami nieobjęty, może tylko mieć miejsce nieinaczej, jak za złożeniem kaucji, niezwracającej się, w ilości dwóch tysięcy piastrów hiszpańskich.

8. Kaucje te będą złożone w kasie, utrzymywanej przez agenta pod kontrolą rady agencji, odpowiadającej co trzy miesiące z sum, odebranych przez organizację generalną. Agenci jednak

[4]) komandor-porucznik, odpowiadający podpułkownikowi wojsk lądowych.

będą upoważnieni do wydawania na konieczne potrzeby 10% z kaucji, złożonych w kasie.

9. Mundur marynarki polskiej będzie koloru granatowego, kroju zwykłego marynarzom z ozdobami srebrnemi i amarantowemi takim systematem, jak w marynarce francuskiej. Guziki będą miały wyryty herb narodowy z koroną jagiellońską.

10. Agenci będą korespondowali z organizacją główną za pośrednictwem głównej agencji dyplomatycznej w Paryżu pod adresem księcia Władysława Czartoryskiego, hotel Lambert, île Saint Louis en ville. Księgi kontraktów i korespondencji będą utrzymywali w porządku.

11. Co miesiąc ze swoich czynności będą zdawali raport organizacji głównej.

12. W aktach urzędowych używać będą pieczęci, podobnej do pieczęci, przyłożonej do aktów, które teraz odbierają, z napisem w otoku „Agencja narodowa morska" z oznaczeniem obrębu, w którym agencja ustanowiona działać będzie".

Zarówno przepisy jak i instrukcje przypominają mocno analogiczne prawidła, wydawane w owym czasie przez Południowców w toczącej się wojnie Secesyjnej 1861/5 r. Widać z nich jasno, że Zbyszewski dla walki z Rosją chciał uruchomić flotę kaperską, złożoną z przerobionych na okręty wojenne prywatnych statków handlowych, których właściciele, t. j. armatorowie, za oddanie swych statków do dyspozycji powstańców mieli otrzymać 25% ze sprzedaży zagarniętych statków rosyjskich. Flota owa miała być samowystarczalną, albowiem załogi utrzymywały się ze zdobyczy (75% ze sprzedaży zagarniętego statku rosyjskiego oraz zaliczki z sum, wpłacanych agentom przez tytularnych oficerów), a premie za zdobyte działa miały być potrącane rządowi narodowemu przy następnem zdobyciu. Schematycznie organizacja marynarki powstańczej przedstawiała się z tych przepisów i instrukcyj w sposób następujący:

a) centrala, „Organizacja główna sił polskich na morzu", mieściła się w Paryżu przy agencie dyplomatycznym rządu narodowego, podlegając jednak bezpośrednio agentowi wojskowemu; centrala miała działy: operacyjny, organizacyjny i administracyjny; na czele stał szef, „Organizator generalny", łączący w sobie funkcje ministra i szefa sztabu; stałym zastępcą szefa był kierownik intendentury, „Komisarz rządowy"; podległość centrali agentowi wojskowemu wypływała dla uzgodnienia operacyj morskich z działaniami lądowemi;

b) agencje centrali, „Agencje narodowe morskie", mieściły się w obcych portach nie francuskich; na czele ich stali agenci, mający uprawnienia organizacyjne i administracyjne, czyli odpowiadający komendantom portów wojennych, jako podstaw operacyjnych dla floty;

c) okręty powstańcze, łączone w razie możliwości i potrzeby w zespoły taktyczne pod nazwą eskadr, podlegały bezpośrednio centrali.

Plan był pomyślany logicznie i ze znajomością rzeczy i tym się różnił zasadniczo od wszelkich projektów wojskowych 1863/4 r.

WITOLD HUBERT

POZA SNOBIZMEM I... POSTĘPEM

JEDNI powiadają, że krytycy mają za duże ambicje wychowawcze, zbyt wiele potępiają i niedostatecznie szanują indywidualność literata, a przecież właściwą misją krytyki jest tłumaczyć utwory czytelnikowi i pokazywać mu ich — wielce dziś skomplikowane i nieuchwytne — piękno. Inni znów, tu już nie tyle „awangardowi" literaci, co zawodowi publicyści, chcieliby, aby, krótko mówiąc, literat tańczył tak, jak mu krytyk zagra, aby czerpał z tych światów, poruszał te motywy i idee i według takich to właśnie tendencji i kryteriów formalnych które się krytykowi podobają.

Te dwie, dość przeciwstawne koncepcje można w pewnym stopniu i sensie połączyć. W tej sytuacji jestem zwolennikiem, nietyle złotego środka ile raczej umiarkowanego działania, bo takie będzie tutaj skuteczniejsze. Krytyka literacka jako część publicystyki, musi mieć ambicje twórcze w sensie wychowywania społeczeczeństwa i wskazywania literatom dróg wyprostowania duchowego, pogłębiania i rozwoju twórczości w myśl współczesnych potrzeb narodu i ideałów estetycznych. Ambicja taka jest słuszna, ale trzeba jeszcze umieć ją realizować. Trzeba się zagłębić uczciwie w duszę autora i wymagać od niego tylko tego, co się mieści w jego charakterze, talencie i tendencjach rozwojowych. Tem mniej zakazywać takich czy innych prób, rodzajów literackich, pomysłów, zwłaszcza młodym pisarzom. Cała trudność w tem, że bada się obiekt żywy, mieniący się dynamizmem rozwoju. Należy poprostu mieć zmysł odgadywania możliwości twórczych i przyszłych dróg pisarza — i pomóc temu zmysłowi przestudiowaniem racjonalnem wszelkich danych.

Te zasady stosuje się zwykłe bezwiednie, gdy przyjdzie pisać, co na nieszczęście rzadko się dziś w Polsce nadarza, o utworach wybornych i sławnych talentów. Ale dobrze jest sformułować sobie główne przepisy dobrego tonu, jeśli chodzi o utwór autora, który albo nie jest wielki, albo jest złamany, albo ani jedno, ani drugie. Raz jeszcze zastrzec się muszę, przechodząc do omówienia ostatniego tomu poezji W. Strzałkowskiego [1]) że nie przesądzam bynajmniej możliwości nawet potężnego rozkwitu talentu młodego poety w ciągu przyszłych lat jego życia. Nigdy bodaj sami nie wiemy, do czego jesteśmy zdolni, jakie niespodziewane efekty wydobywają z nas okoliczności życiowe i do jakich wzlotów może się człowiek podźwignąć własną pracą.

W myśl powyżej zarysowanych założeń nie będziemy poety winić za to, co nas razi w jego wszystkich zbiorkach na tle współczesnej poezji młodych autorów mężczyzn, a nawet i kobiet — mianowicie brak bojowego temperamentu, zmysłu społecznego, ambicyj wodzowskich, dążeń narodowych i religijno-moralnych zmagań wewnętrznych.

---

[1]) Wyjazd na połów, Warszawa, skład główny: Instytut Wydawniczy Biblioteka Polska. Nakładem autora. R. 1937, str. 54.

Tak samo ani winą, ani wadą jest jego kult Mickiewiczowskiej prostoty w formie, bez tej filozoficznej głębi, siły uczucia i świadomego patriotyzmu, co stanowi najistotniejsze walory geniuszu wieszcza.

Prostota i szczerość nie wystarczają. Prostota obrazowania, kojarzeń i toku wiersza tylko wtedy ma zniewalający urok, jeśli wyraża uczucia subtelne, a ważne dla duszy ludzkiej, albo koncepcje potężne o niezwykłej wartości społecznej, w myśl popularnego paradoksu, że geniusz tym się różni od zwykłego śmiertelnika, że widzi rzeczy prościej, niż są. Szczerością zaś w literaturze nazywamy niekłamany bezpretensjonalny wyraz przeżyć i przekonań. Cóż nam po szczerości człowieka, który niema wogóle wiele do powiedzenia?

Niepokojącym tonem wierszy W. Strzałkowskiego jest ich standard literacki, równość poziomu artystycznego. Od 1929 r. do dziś trudno się dopatrzeć w jego wierszach jakiejś wyraźnej różnicy na korzyść utworów późniejszych, rozwoju talentu, postępu myśli, rozkwitu techniki ekspresyjnej. Nawet gdyby poeta był przekonany o nie byle jakim poziomie swych pierwszych ogłoszonych utworów, to jednak jego samego niewątpliwie zastanawia zbyt powolne w tym wieku realizowanie się ambicyj. Mam tutaj na myśli nie ambicje praktyczne zrobienia olśniewającej kariery, bo to dla prawdziwego poety powinno być znacznie mniej ważne, ale — ambicje twórcze.

Analiza przyczyn tego zastoju mogłaby nas zaprowadzić zbyt daleko, w każdym razie tam, gdzie myśl traci pomost faktów pod nogami, a schodzi na bezdroża domysłów. Wszakże na podstawie utworów W. Strzałkowskiego dostatecznie wyraźnie widać, w jaki sposób na dziełach sztuki mści się brak głębokiej treści. Młody autor ma solidne narzędzie w rękach, w postaci poprawnej polszczyzny, zrównoważonej wyobraźni i poczucia harmonii pojęć. Ale cóż z tego, kiedy mu zbywa na trwałym materiale i śmiałych a mądrych koncepcjach twórczych.

Za dużo pisze. Zamało zastanawia się, nad życiem i człowiekiem. Wszystko dla niego jest proste, zrozumiałe, nieskomplikowane. Ma powierzchowne poglądy na świat. W lirykach swych ogranicza się do opisywania zwykłych wrażeń zmysłowych i banalnych, niezłożonych uczuć. Napróżnobyś szukał w jego wierszach o morzu jakichś ciekawych syntez perspektywicznych, jakiejś architektoniki obrazu. Nadaremniebyś nasłuchiwał tam ujmującego nastroju. We wszystkich niemal wierszach W. S. panuje ten sam słabiutki nastrój deklamatorski.

W twórczości W. S. niema żadnych śladów nowszej kultury poetyckiej. Klasyczny wiersz sylabiczny lub sylabo-toniczny. Niema bodaj ani jednego utworu o modnym akcencie tonicznym, dającym tak wspaniałe możliwości harmoniczne, a przynajmniej uwalniającym od nudy skandowanych ...zgłoskowców. Czy to nie dziwne, że lektura Kasprowicza, Iłłakowiczówny, a choćby nawet takiego Tuwima, czy Łobodowskiego nie wzbogaciła techniki poetyckiej W. S. o jeden bodaj bujny rytmiczny schemat, o jeden dobry asonans...

Bez zamiaru pouczania kogokolwiek stwierdzamy gwoli charakterystyki i konkluzji:

Wielkie utwory powstają z wielkich przeżyć i to raczej społecznych, narodowych, niż egotycznych.

Nowa treść zawsze sobie znajdzie nową formę.

Wynalezienie tej nowej formy ułatwia, jeśli się nie ma geniuszu pionierskiego, kultura literacka, polegająca na entuzjastycznym opanowaniu dzieł głównych w dorobku sztuki, bez pomijania nowości.

TADEUSZ DWORAK

WILNO

ODCZYT WYGŁOSZONY NA UNIWERSYTECIE WARSZAWSKIM[1]) W AKADEMICKIM KOLE WILNIAN W DNIU 10 MAJA 1930 ROKU.

I

GDY przedstawiciele Akademickiego Koła Wilnian zwrócili się do mnie z propozycją wygłoszenia w Warszawie, na gościnnym gruncie Uniwersytetu Stołecznego, odczytu o Wilnie, przyznaję się, że przyjąłem tę propozycję nie bez pewnej emocji. A więc mam przemawiać tu, mówiąc o Wilnie przede wszystkim do Wilnian. Mam mówić, jako swój do swoich. Mam mówić o tem, co nietylko wszystkim nam jest drogie, ale także dobrze znane. Poco w takim razie mówić?

I otóż przypomina mi się chłopak, któremu matka różne opowiadała bajki. On jedną bajkę lubił szczególniej i zwykle prosił matkę, by mu tę bajkę, tyle razy już słyszaną, raz jeszcze opowiedziała. To była jakby „j e g o" b a j k a.

Taką bajką dobrze, najlepiej znaną, jest dla wilnianina jego Wilno. Może snać często o niem słuchać i jak ów chłopak, słuchając swojej bajki, może chciałby ją wiedzieć jeszcze inaczej, po swojemu. T a k m o ż e k a ż d y w i l n i a n i n n o s i w s o b i e — s w o j e W i l n o.

Staję więc tu po to, by tylko przypominać, by wizja daleka stała się bliską, b y p r z e s u n ą ć t ł o o s o b i s t y c h k a ż d e g o w s p o m n i e ń.

I może teraz dobra ku temu pora, bo okryła się młodą, nieśmiałą zielenią góra Zamkowa, warczy weselej Wilejka, a w zaułkach osłonecznionych, okna, przetarte jak oczy, patrzą inaczej, niż w zimie.

Z tego wiosennego Wilna pozdrowienia Państwu przynoszę.

Przed miesiącem obchodzono na całym świecie Niedzielę Palmową. Ci, co dnia tego bywali w

---

[1]) Odczyt powyższy jest wyjęty z książki p. t. „Liść Wawrzynu i Płatek róży". ś. p. Ferdynanda Ruszczyca, mającej ukazać się w druku na jesieni bieżącego roku. To pośmiertne dzieło będzie zawierało wykłady, przemówienia i artykuły zgasłego artysty, odnalezione w jego archiwom domowem i stanowiące cenny dokument epoki już przeminionej — Epoki Ruszczycowskiej Wilna. Książka ta pozwoli wniknąć w duchowość wielkiego artysty i wspaniałego szerzyciela piękna i przyczyni się do unaocznienia niepospolitego wkładu do kultury narodowej, jaki stanowiło życie Ferdynanda Ruszczyca, całkowicie i ofiarnie złożone na ołtarzu Piękna i Prawdy. J. Bułhak

Wilnie, wiedzą, że z tym dniem jest związana pewna osobliwość wileńska — wielobarwne, a zarazem skromne palmy wileńskie. Wszędzie zwyczaj ten panuje, ale nigdzie, nawet w pobliskiej Lidzie, Święcianach, Oszmianie a nawet Grodnie — takich palm niema. Ten rodzaj jest wyłącznym produktem Wilna, jego przedmieść i najbliższych wsi. Z ufarbowanych nieśmiertelników, nasadzonych na gałąź czy patyk z zielonym pióropuszem na końcu, ze mchu szarego, czasem przeplatanego jarzębiną, jak koralami, nawet ze zwyczajnych wiórów ufarbowanych powstają te swojskie palmy wielkanocne. Nie są one wzorowane na właściwych palmach, ani na kwiatach, jakie widzimy w naturze. Mają strukturę swoistą, wywodzącą się z jakichś pierwotnych form ludowych. Jeżeli przypatrzeć się ich wielkiej różnorodności co do koloru, ciekawemu doborowi barw, od kontrastowych do najbardziej dyskretnych, nie można nie dopatrzeć się w nich dziwnych harmonii kolorystycznych, jakiegoś szafowania najrozmaitszemi możliwościami. Skromne na pozór te barwne drążki ułożone z najzwyklejszego materiału, kryją w sobie akordy i gamy chromatyczne, nuty często mocne, a czasem harmonie najsubtelniejsze, melodje najcichsze.

Jakich krzyżowań etnicznych, jakich przeżyć było potrzeba, ile wieków, ile chwil jasnych, radosnych i znowu ponurych i smętnych, ile wpatrywania się w milczeniu złożyło się na to, by powstały te upodobania, nie narzucające się ale uporczywe w mozolnem, misternem dobieraniu i zestawianiu?. Oddźwięk jakiejś głęboko ukrytej polifonii.

Podobny palmom jest charakter i jego rodzaj wileński. Te same cechy ma miasto, nie mogące imponować ani bogactwem, ani ogromem, ani urządzeniami. Ale gdy się w nie wejdzie, gdy się jemu przyjrzeć, wsłuchać w nie i poddać się mu, to chwyta za serce.

Taki też jest krajobraz wileński. Faliste wzgórza i pagórki, nie góry skaliste, rzeka nie rozlewna, strumienie, ruczaje, kryjące się wśród nawisającej zieleni, jakby się chciały schować przed okiem ludzkiem. Coś intymnego, niegłośnego, ale jedynego w swojej harmonii.

Tacy są i ludzie. Nieskorzy, skryci, jakby unikający, ale czasem słowem jednem, zwrotem dający zajrzeć w siebie, w głąb. Ludzie niezachwianej wiary, a zarazem względem innych niedowierzający, pytający wzrokiem. Bojący się zawodu, a sami niezawodni. Utarło się zdanie, że akcent i prowincjonalizmy wileńskie są tylko zabawne, śmieszne. Oczywiście powstają różne dziwolągi z rusycyzmami i z pewną amalgamą litewsko-białoruską. Ale jak w każdej dzielnicy zachowały się z dawnej polszczyzny określenia szczególne, gdzieindziej już nieznane, tak też w Wileńszczyźnie spotykamy powiedzenia i zwroty, przypominające czasy Trylogii Sienkiewiczowskiej. Mają tam bardziej swoisty charakter wskutek intonacji. Ludzie niełatwo udzielający się, mają swój specjalny sposób wypowiadania się. Przybywa do tego jakiś ton wnikliwy, często życzliwa chęć dopomożenia, poradzenia, połączona z zakłopotaniem. Wreszcie chęć wytłomaczenia rzeczy po swojemu. Komuś, co przy opłakanym stanie dróg naszych z oburzeniem opowiadał, że przejeżdżając bryką przez most, zawalił się, filozoficznie usposobiony Oszmiańczuk czy inny Wileńczuk odparł: „a któż winien? Widzisz — most — a jedziesz". To są śmiesznostki rozrzewniające.

Im bardziej sięgnąć w głąb uwarstwień społecznych, tem mocniejszy i pewniejszy grunt, aż do tych podłoży wierności, które stały się opoką Piotrową naszych dziejów. I dlatego w tłumie, gdzie człowiek nie czuje się śledzonym, dlatego w wielotysięcznych procesjach z tych ludzi milczących wydobywa się tajony głos tak chętnie, tak impulsywnie. Dlatego to milczenie ponure i zawzięte, gdy trwało uciemiężenie, i dlatego ten uśmiech na twarzy, dlatego ta radość w spojrzeniu, gdy przyszli swoi, wybawiciele. Spojrzenie, którego nie można zapomnieć. I dlatego kochamy ten lud wileński, jego wiarę i wierność, jego oporność wiekowym pokusom.

Znamienna jest może, że przejawem najszczerszym i najpiękniejszym niezwykłej dystynkcji wewnętrznej są właśnie te palmy wileńskie — różdżki, urwane na radosne powitanie, jak ongiś w Jerozolimie. Różdżki swoiste, któremi lud po zimie wita nową nadzieję.

I znowu znamiennem jest dla Wilna, że nie wyobrażamy sobie wejścia do niego inaczej, niż zwyczajem wieków, jak do biblijnej Jerozolimy, przez bramę, przez ową Bramę, która wolą losów stała się symbolem tych dwóch cech Wilna: odporności i wiary. Z jednej strony mocne mury twierdzy obronnej, z drugiej, świątynia wiary i rzewnego sentymentu. To *dur* i *moll* w jednym akordzie. I znowu na zewnątrz niewzruszone oblicze, a za nim ukryta głębia spojrzenia, tajone łkania błagalne lub dziękczynne.

Od przeszło lat dziesięciu jestem świadkiem wrażenia, czasem wstrząsającego, zawsze nieprzewidzianego, jakie odnoszą cudzoziemcy, gdy przez renesansową bramę, świadczącą o mocnem ongiś obmurowaniu średniowiecznego grodu, wchodzą w ciasną ulicę, a tu zastają tłum stojący lub klęczący, rozmodlonym wzrokiem patrzący gdzieś w górę. I gdy ci przybysze z dalekich krajów, przychodzący z miejskiego gwaru lub codziennej monotonii, zatrzymują się, by odwrócić się wstecz — czeka na nich widzenie — kaplica zawieszona nad ulicą wśród żarzących się świec i spływających dźwięków organów.

Ta chwila, to miejsce, mówią im wszystko. Pozostaje im słowo niezrozumiałe, obce całkiem — Ostra Brama, zawierające w sobie, zwarte w kilku sylabach to, na co się składa wizja wzrokowa i dźwiękowa i na co złożyć się musiała nieznana, ale intuicyjnie wyczuwana mnogość przeżyć.

Tak się wchodzi do Wilna. Przez jakieś ucho igielne, by tem więcej dążyć, garnąć się potem do przestrzeni szerszych.

Przez ulice starego miasta, które to rozszerzają się, to znów się zwężają, ciągnie nas ku zielonym ogrodom, ku temu placowi, gdzie w wielkim rozmachu Gucewiczowskim rozsiadła się Katedra — Bazylika.

Dziwnie przyjął się na gruncie wileńskim styl klasyczny. Na północy, gdzie śniegi mroźne, lub słota mroczna, gdzie w maju i czerwcu transparent nocy z niegasnącą zorzą tak kontrastują z południem z ojczyzną klasycyzmu — na naszej północy, tęsknota za monumentalnością helleńską i rzymską znalazła podatny grunt. Nie sprzyjało niebo, nie przysparzała gleba ani granitu ani piaskowca, ani marmuru. Nuta pokrewna ukryta była

w ludziach. W ich ambicji, fantazji, w dążeniu do wtłaczania człowieka w przypadającą mu klatkę i kratkę, dziś, gdy każda jednostka ma jednakie prawo do numeru legitymacji, biletu kolejowego i autobusowego, niepojętem jest tamto dążenie w zwyż, ta potrzeba, by linie szły nie wszerz a w górę, by zbiegały się wysoko. Z jednego materiału stałego, z naszej cegły powstawały te olbrzymy, te kolumny najwyższe w Polsce — Katedry naszej. W okresie poprzedzającym rozkwit Aten wileńskich, świątynia, pamiętająca Jagiełłę i Witolda, czasy gotyku i baroku, ale i tylokrotne pożary, dźwigała się nanowo, by w wymowie wielkich płaszczyzn i pionów współzawodniczyć z dalekiemi — w czasie i przestrzeni Atenami greckiemi.

Lecz nietylko w tych czasach, gdy rozsadzone były i rozpadały się zręby Rzeczypospolitej, stawiały nowe budowle czoło chmurom i burzom, jakby wbrew rozwadze i ponad siły. Tak było przez wszystkie wieki przeszłości. Każdy prawie kościół wileński jest tym przekrojem ziemi, gdzie widzimy warstwy gruntu poprzegradzane warstwami popiołów i zwęgleń. Każda świątynia wraz z miastem ulegała pożogom i *każda wraz z wiarą się odradzała*. Wznoszono je nanowo i tylko inaczej zdobiono w nowo powstałym sposobie, według innej mody, Stąd to nawarstwienie stylów w kościołach wileńskich.

Ten wieczny opór i odpór — to cecha monumentów naszego „budownictwa, jakby przyrodzona, bo powstała również na przekór prawdopodobieństwu. Gdy się spojrzy na wielometrowe okna gotyckie św. Jana nad niewysokiemi dziś jeszcze domostwami ulicy Zamkowej, a tuż obok wzrok sili się objąć blok wieży Świętojańskiej, która z miejsca dolinnego sięga do poziomu najwyższych wzgórz okolicznych, gdy na Antokolu, dziś jeszcze zacisznem przedmieściu, wejdzie się do kościoła św. Piotra i Pawła z jego światem parotysięcznych postaci skrzydlatych lub orężnych, — wtedy porywa ten jakiś polot, poryw z niczem nie liczący się, ta chęć nieprzeparta, by tu dać to, co najwyższe, by stąd jak czytamy na ścianie uniwersyteckiej — szło się ku gwiazdom. I przypomina mi się uwaga, jaka wyrwała się młodemu wieśniakowi z moich stron, *gdy przechodzac ze mną w cieniu dzwonnicy*, spojrzał w górę i rzekł „i pomyśleć, że byli ludzie, co to budowali!”.

Byli ludzie.

Zawsze i we wszystkiem, w sztuce, czy w historii, rozstrzyga ten impuls, zawarty w człowieku, rozpierający go jak sprężyna, albo też — brak tego impulsu.

Jeśli w dziejach państw i narodów nasza historia, w rozkwicie czy w upadku, w uniesieniu czy w załamaniu, jest może najbardziej ludzka — to z miast naszych Wilno ma za sobą dzieje jakby żywej istoty ludzkiej ze wszystkiem, co może ona odczuć duszą i ciałem w przeciągu swego istnienia.

(Dok. n.) FERDYNAND RUSZCZYC

OSTATNIE WIERSZE O MATCE

I

Opuszczała głowę na ramię.
Sad jej kwitł kluczykami.
Dzieci znosiły z łąki nad rzeczułką
wianki kaczeńców, jaskrów złote kółka.
Pachniało miętą, bo ją kosiarz ściął,
razowcem świeżym, i lasem, i wsią.
Życie buchało razem z kaszlem—krwią.
Umarła wtedy, bo ją kosiarz ściął.

II

Pod tą ścianą, gdzie siadywała w gorączce,
już nie sad dawniejszy, lecz łączka.
Ruczaj biegnie doliną ku jezioru,
od łączki i sadu i dworu.
Od lasu do jeziora — ścieżka,
a we dworze szlachcic pijak mieszka:
czkawka dusi go, a on się zatacza
po pokojach, gdzie gasła w rozpaczy.

III

Klonowa aleja, zerwany most,
po pagórkach—chrusty, na piaskach—wrzos.
Z Naszuniec, czy z Kajdaneli,
nie słyszeli, nie znają, nie widzieli,
gdzie jest dwór, gdzie to okno, ten pokój,
gdzie takiego to a takiego roku
umierała, młoda i żałosna,
matka moja, Barbara, na wiosnę.

IV

Gdzie jest ten prom, ten przewóz,
na prawo stąd, czy na lewo,
którym umarłą ze Śnieg,
na Dubiński przewieźli brzeg,
na uwieńczonym drabiaku,
w ozdobie bławatków i maków,
opłakiwaną jak córkę,
ciągnioną przez siwą czwórkę
dziedzińcem i aleją z klonów
— nareszcie uspokojoną?!

V

Niepamięć o tobie — od wody głębsza.
Każdy rok większy mrok nad tobą spiętrza,
i wzrok się zmęczy nim do ciebie dotrze,
o matko moja, Basieńko,
nie matko już, lecz jakby siostro młodsza.
Lata me—rosną, twoje się nie zmienią...
Patrzę za tobą jesienią, jesienią,
gdy pierwszy biały włos z ciemnym się spiera
i liść połyska głośniej nim umiera...
O matko moja, Basieńko...
Zeszłaś, jak biała lilja Dubiniecka...
Patrzę za tobą, biedne, wątłe dziecko:
palce chudziutkie na kolanach splatasz,
majowy poblask wkoło ciebie lata,
lelek nad tobą śmiercią się odzywa,
nieszczęśliwa!...
Już cię nie wezwę, nie poruszę w grobie...
To mój ostatni będzie wiersz o tobie,
o matko moja, Basieńko.

KAZIMIERA IŁŁAKOWICZÓWNA

NA WIDOWNI

Nieco o Rumunii. — Między wschodem a zachodem. — Romańscy słowianie. — Fanarioci i Paryżanie. — „Złota księga“ jak w Wenecji.

ŻYJEMY teraz pod znakiem Rumunii i nie sposób już nawet zliczyć, ile tych ciągłych wizyt było! A co najważniejsze, że wszystkie te przejawy sojuszu szczere i z obustronną radością pochwalone. Rozpisywano się też bez liku na temat naszej ścisłej łączności i naszego bloku Bałtyk — Może Czarne, Gdynia—Konstanca. Blok trochę cienki i wymagałby pogrubienia, a w każdym razie pogłębienia sentymentów. „Myśl Narodowa” już raz dała dłuższe studium o wielkiej Rumunii, a teraz przy okazji i ja widownię wykorzystam, by powiedzieć coś o tak bliskim nam narodzie.

Oczywiście nie dziennikarskich komunałów, bo tych było już stanowczo dosyć i nie informacji encyklopedycznych, bo tych znów po encyklopediach szukać należy — ale czegoś, o ile mię na to stać — ciekawego. Bo wszelka przyjaźń nie może istnieć bez wzajemnego zainteresowania, a jeśli chodzi o Rumunię to w tradycjach naszych leży interesowanie się nią i stanowi ona naturalny teren naszych kulturalnych i gospodarczych oddziaływań, ku obopólnemu pożytkowi.

Zresztą, gdyby nawet naród rumuński nie był tak pod każdym względem nam bliski i gdybyśmy nie mieli tych specjalnych powodów do interesowania się nim, to i tak ciągnąć by ku sobie musiał, jako pewnego rodzaju egzotyka. Jest on bowiem równocześnie wschodni i zachodni, romański i słowiański, bałkański i już nie — bałkański. Słowem bardzo malowniczy kraj kontrastów, którego losy i dzieje również pełne są osobliwości.

Wschód i Zachód — to dwa przeciwieństwa; ogień i woda, które nigdy się zbratać nie dają i między którymi granica zawsze wyraźna. Nie ma syntez między cywilizacjami — kategorycznie głosi prof. Koneczny. A jednak to zdanie mię wciąż kusi do opozycji, bo wystarczy się przypatrzeć Rumunii, by istnienie takich syntez przypuszczać. Zresztą, to jeszcze wcale nie podważa tak gruntownie przemyślanych tez znakomitego profesora. Może to tylko te mechaniczne wymieszki, o których tak obszernie mówi. Ale mniejsza z tym jak to nazywać, Rumunia nie jest ani wschodem, ani zachodem, ale oryginalnym ich stopem.

Zachód zachodowi nie równy i wschód także. Jest zachód katolicki i protestancki jest też wschód (bo to wszystko pewnego rodzaju całość) bizantyński, turański i islamski. A Rumunia ze wszystkimi miała łączność — nawet z protestantyzmem, bo kalwińscy książęta Siedmiogrodu usiłowali i wśród ludu wołoskiego siać ziarna swojej wiary i dzięki tym troskom choć węgierscy, w dziejach jego kultury się zaznaczyli.

Leżąc na wielkim rozdrożu historycznym nie była, bo nie mogła być, Rumunia nigdy zdecydowanie przynależna do któregoś z dwóch światów, ani nawet nigdy zdecydowanie do któregoś z drobniejszych światków. Niby najbardziej jeszcze bizantyńska nie była nigdy obcą zachodowi, choćby dlatego, że nie było nigdy obcą Polsce. Do klęski Piotra nad Prutem (1711) owe zachodnie stosunki wcale ożywione były. Przepiękną cerkiew w Curtea d'Arges o liniach renesansowych budowali Włosi. Możni bojarowie przez Polskę i Węgry zapoznawali się z prądami zachodu i o swojej łacińskości sobie przypominali. Największy z siedemnastowiecznych hospodarów—Serban Kantekuzen (1678—1689), nawet kolegium w Bukareszcie założył, a mimo całą biedę tych czasów kultury zachodniej na tyle starczyło, że jednym z pierwszych „europejskich” autorów Rosji był ks. Antjoch Kantemir, syn hospodara Dymitra, który po traktacie pruckim, razem z Piotrem z ojczyzny uchodzić musiał.

Wszystko to się popsuło, gdy przyszły fanarjockie czasy (1711 — 1829), okres pod wielu względami nasze „saskie”, czy węgierski „letarg” przypominający. Zbieżny nawet z niemi w czasie i tak samo, jak one swoim bezwładem i bezruchem demoralizujący i wstecz ku wschodowi pchający. Tym tylko na niekorzyść różny, że daleki od złotego spokoju Polski saskiej, czy Węgier rokokowych. Okres to bowiem bezustannych wojen Rosji i Turcji i stąd bezustannego niszczenia rumuńskich krajów. Ciężar i grozę tej wojennej egzystencji oddał w swoich powieściach „Gorkij Bałkanów”— Istrati, dla swego komunizmu skwapliwie i potwornie swego czasu przez żydów tłumaczony.

Początek tej epoki taki, że Turcja pokonawszy Piotra Wielkiego kres położyła rumuńskiej względnej samodzielności. Skasowano obieralność hospodarów i od tronu odsunięto krajowców. Dla bezpieczeństwa sprzedawano go teraz poprostu w Konstantynopolu. Bogaci Grecy z Fanaru jako prawosławni dostarczali kandydatów. Byli oni nawskroś wschodni, gdy chodzi o ogładę i kulturę. Ochocki widział uciekających przed wojną na Ukrainę Ypsilantich i barwnie opisuje ich karety, bez siedzeń, a tylko z poduszkami i ich orientalne brody i zawoje. Kraj ssali jak pijawki, dorabiając się jeszcze większych fortun, a fundując za to monastery. Wszyscy jednakowi byli pod tym względem i taki sam był Ghika, Maurokordato, Rossetti, Sutza czy Maurogenes. Ale sporo z tych rodzin zżyło się naprawdę z Rumunią i w jej życiu zaznaczyło. Wystarczy tylko wymienić ród Rossetów, czy tego Grzegorza Ghikę, od którego nosi nazwę graniczącą ze Śniatynem stacja, a który zwyczajem tureckim uduszony został z rozkazu sułtana za swój protest przeciwko oddaniu Bukowiny Austrii.

A gdy z powiewem nowych czasów i rozkwitem prądów narodowych skończyły się rządami Kisielewa (1829 — 1834) fanariockie czasy, Rumunia pod panowaniem różnych Sturdzów, Bibesków i Stirbejów, znów nawiązała bardzo mocne i trwałe kontakty z zachodem, kontakty te szły przez Paryż i młodzi bojarowie golili brody i zmieniali gorączkowo swoje turbany na cylindry. Paryż i Francja stały się bożyszczem dla rumunów, którzy odzyskali zagubione poczucie romańskości.

Bo Rumunia, co właśnie jest jej szczególną egzotyką, stanowi zaawanturowaną nieprawdopodobnie daleko na wschód oazę romanizmu. Są to właściwie Słowianie romańscy, ale bądź co bądź romańscy. Jeszcze ów kulturalny Serban Kantakuzen, kazał na wołoski przetłumaczyć biblię i w tym języku odprawiać w cerkwiach nabożeństwa. Później porzucono też cyrylicki alfabet, ale mocne koneksje słowiańskie zostały. Nie tylko geograficznie Rumunia do tego świata należy.

Przedziwną mozaikę wpływów jakim uległa, oddał świetnie w swym wierszy Eftimiu, bo język rumuński ma:

„Miękki czar słowiański i ślad dacki
Wholubione w swe łacińskie godło
Mnich helleński, zbieg z kozackiej ziemi,
Stambuł, Paryż szczepili to drzewo...“

Ślad dacki wprawdzie przetrwał chyba tylko w mowie, ale słowiańskość jest naprawdę żywa, chociażby przez prawosławie i Polskę. O naszych wpływach prasa cała obszernie się rozpisała i trudno dorzucić coś nowego chyba to, że Polak Żurawski — Jerzy Asseky założył słynne Ateneum. Dodam więc jeszcze tylko, że węzły były zawsze bardzo silne i choćby owi Kantakuzenowie, tak zachodni i oświeceni, wzięli w XVII-tym wieku indygenat polski i kwitli w jednej z gałęzi na Podolu. Wogóle indygenatów wołochom Polska udzielała hojnie i rodzin rumuńskiego pochodu nie brak u nas, osobliwie w Małopolsce.

Ale wracając do wiersza Eftimiu inne apostrofy są o wiele od tej dackiej słuszniejsze. Mnich helleński, nawet zgórą Atos odegrał i w Rumunii swoją rolę, jak w Serbii, Bułgarii i na całym Bałkanie. Odegrało też kształcącą rolę Bizancjum i echo tego w różnych tytułach bogafetów czy deskalów, i różnych historycznych wspomnieniach, jak w kodeksie Bazylego Lupu, znanego u nas z historii miłosnych Rozandy. Mniej już w budownictwie, bo cerkiew „Trzech świętych" w Jassach jest z Gruzją genetycznie związana, a masa różnych monasterów o mazepiński barok Kijowa zatrąca, i tu zaraz mamy tego „zbiega z kozackiej ziemi", skoro po klęsce połtawskiej największy z kozackich hetmanów w Galaczu na wygnaniu umarł.

Wogóle stosunki między kozacką Ukrainą a hospodarstwami były jaknajbardziej ożywione. I nic w tem dziwnego, gdy zważyć, że Polska przez te kraje przedewszystkiem się z obecną Rumunią stykała i tu miały swoje dobra owe spokrewnione z hospodarami królewięta. Ludzi więc też sobie wzajem wymieniano i do Jass i Bukaresztu nieraz awanturowali się kozacy. Ścięty we Lwowie Podkowa, krewny znakomitych Heżdenów Petriczejko, wreszcie słynny, największy z kijowskich metropolitów Piotr Mohiła są tego typowymi przykładami. I Mohiła, wychowany w La Flèche, poniekąd szkolny kolega Descartes'a wprowadzający łacinę do stworzonego przez siebie kolegium i do szkół bazyliańskich, to jakby duchowny odpowiednik bukaresztеńskiego Kantakuzena również okcydentalizującego cerkiew.

Więc jednak wciąż zachód mimo całego Stambułu i jego fanariotów. Zachód uosobiony na długo w Paryżu. Upojeni jego czarem bojarzy tak francuzieli jak nasza szlachta stanisławowska, tylko że... o sto lat później. I coś z tego do dziś zostało; do dziś są Rumuni francuscy w swej kulturze, aż do zatraty rumuńskości. Wskażę tylko największą ostatnio poetkę Francji, niedawno zmarłą hr. de Noailles z domu ks. Brankowan i drugą, żyjącą jeszcze pisarkę ks. Bibesko, wcale nie Francuskę z urodzenia, bo bojarównę Lahowary z domu.

Ale zostało mi jeszcze jedno, jeszcze jeden z kontrastów rumuńskich — Bałkan. Jest ona bowiem bałkańska przez swą historię, przez Turków, przez tysięczne reszty; ale jeśli bałkańska to również i bardzo tu oryginalna i inną ma strukturę społeczną od pozostałych krajów Bałkanu.

I Serbia i Bułgaria bowiem utraciły swą szlachtę i utraciły ciągłość historyczną. Między Jerzym Czarnym a Kosowem jest luka i to samo między carstwem Szyszmonów i Koburgów. W Rumunii tymczasem tego nie ma i tą ciągłością swojej skołatanej historii bądź co bądź ona na Bałkanie góruje. A jako wyraz tej swojej ciągłości zachowała jedyna na Bałkanie szlachtę, skoro Chorwacja w każdym razie już czysto bałkańską nie jest, a Bośnia miała tylko islamskich begów, co wyznaniem się i od dawnej tradycji i reszty ludności odgrodzili.

Tymczasem w Rumunii niemal jak w Wenecji, była spisana w swoją złotą księgę szlachta i z niej rekrutowali się hospodarzy. Ściślej tylko z bojarów większych spisanych w t. zw. „archontologii", którą spalono w 1848 r. niczem i wenecką złotą księgę 50 lat wcześniej. Ale tu też te weneckie analogie się kończą, bo mimo pewne podobieństwo dość jednak daleko bojarom do nobilów, hospodarowi do doży, a dywanowi do wielkiej rady, a także i samemu opartemu o kisielewowski „regulamin" systemowi, do tego jaki był w Wenecji. Lecz piękny i ciekawy kraj rumuński pociągnąć może nie tylko swą egzotyką i nie tylko jego przeszłość jest ciekawa. Rosną tam ukryte dotychczas siły, pracuje wielki prąd ideowy, walczy o naprawdę wielką Rumunię „Żelazna Gwardia", o której za mało stosunkowo wiemy. O wiele nawet mniej niż o portugalskim Salazarze. Brak coprawda łatwych źródeł informacyjnych i jakiejkolwiek literatury, ale coś na to poradzić trzeba. Musimy bliską Rumunię jeszcze bardziej zbliżyć do siebie.

KAROL STEFAN FRYCZ

GŁOSY

ZBYT JASKRAWY KONFLIKT

Nie widzimy możności robienia jakichkolwiek uwag o zdarzeniu, którego sceną była katedra na Wawelu. Fakt sam znany dobrze z prasy codziennej, choć niewyjaśniony dostatecznie w motywach, fakt, jakby z dramatów Wyspiańskiego wyjęty. Interesuje nas w tej chwili użytek, jaki w Warszawie z tego faktu zrobiły czynniki polityczne, nie wzięte widocznie w rachubę przy pierwszej na ten fakt reakcji sfer miarodajnych.

A było do przewidzenia, że sprawę tę, jaskrawo ujawnioną, chwycą w swoje ręce i na ulicę wyciągną elementy, żądne rozgrywek i okazyj do propagandy. Skorzystała ze sposobności jedna ze stron ścierających się z sobą w obozie sanacyjnym. W nr. 175 „Dziennika Porannego," organu b. akademika Rzymowskiego, znajdujemy artykuł w tej sprawie z taką uwerturą:

„Liczyli na to, że zapomniano o Nim. Że dziś już wolno bezkarnie Go znieważać. Nasłuchali się tyle o „zasłonie nad przeszłością". Napatrzyli się w y c i ą g a n i a ramion do tych, co przez całe życie byli Mu wrogami. Liczyli, ale przeliczyli się.

Wierność wśród najwierniejszych nie słabła ani na chwilę. W milczeniu znosili wiele. Ale zniewaga Tego, którego umiłowali ponad wszystko, przypomniała, że stoją niezachwiani na straży Jego pamięci".

Oczywiście, kierownicy Obozu Zjedn. Narod., przeciwko którym pocisk ten wymierzono, nie mogą pozwolić sobie na przyjęcie walki na tym terenie; musieli do akcji, operującej największymi

atutami, przystąpić. Ponieważ zaś na dane hasło ruszył z pomocą cały front ludowy, więc wytworzyła się sytuacja, że OZN-owi łatwiej poszło zjednoczenie z tym frontem, niż z owym narodowym, do którego „wyciąga ramiona".

Sytuacja nader powikłana. To jedno mogłoby ją tylko uprościć, gdyby tam gdzie należy zrozumiano, że naród polski nie życzy sobie takich konfliktów.

„KOMU, PO CO, DLACZEGO?"

Po przeczytaniu pierwszego komunikatu o zatargu między rządem a ks. arcybiskupem Sapiehą red. „Słowa" Mackiewicz zamieścił w artykule wstępnym (nr. 172) taką refleksję:

„Mamy przemożne wrażenie, że jakieś ukryte siły wrogie konsolidacji narodowej szukały konfliktu między państwem a Księciem kościoła, i znalazły aż nazbyt łatwą ofiarę w postaci Ks. Arcybiskupa. Nerwowość i bezwzględność Ks. Metropolity jest zbyt znana, by nie można było zgóry przewidzieć, do jakiego skutku doprowadzi pewien sposób porozumiewania się.

Czyż doprawdy sprawa zwłok Marszałka jest tak błaha, osoba Ks. Arcybiskupa tak drugorzędna, a skutki skandalu tak płytko idące, by nie należało wysłać kogokolwiek z licznej świty Pana Prezydenta, lub u pana premiera, kogoś ktoby w stylu mniej żołnierskim, ale bardziej skutecznym, spokój prochom Wielkiego Marszałka zapewnić potrafił?

Stało się, i źle się stało. Komu, poco, dlaczego na rękę był ten skandal? Kto z ludzi cichych, nieznanych, mafijnych, poza rządem, ukrytych po niskich szczeblach różnych wydziałów masonów, odegrać się pragnął? Może to kiedyś historia wyjaśni. Ale opinia społeczeństwa potępiwszy jednomyślnie pomysł rzucania trumną Piłsudskiego, musi bardziej niż kiedykolwiek czujnie i bezwzględnie stawić opór próbom kopania przepaści między narodem a kościołem."

Za kopanie tej przepaści uważać musimy manifestacje uliczne z bardzo obelżywymi okrzykami i napisami na tablicach. Na czele tych pochodów— i to jest bardzo znamienne—kroczyli pp. Artur Śliwiski i Antoni Górecki.

„KOINCYDENCJA"

Fakt konfliktu z kościołem tym większym niepokojem przejął społeczeństwo polskie, że zbiegł się on w nad miarę złośliwy sposób z Międzynarodowym Kongresem Chrystusa Króla, z narodową uroczystością zlotu Sokołów na Śląsk i t. d.

Dosyć pomyśleć, jak wielki zaszczyt przypadł w udziale Polsce, że miasto Poznań obrał świat katolicki na miejsce Kongresu, Prymas zaś nasz ks. Arcybiskup Hlond mianowany został przez Ojca Świętego na ten Kongres Legatem papieskim.

Podczas uroczystego otwarcia Kongresu Legat Papieski ks. Prymas Hlond wzniosłymi słowami określił stosunek kościoła do Państwa Polskiego:

„Obecność Delegata Rządu Rzeczypospolitej na tym Kongresie jest publicznym świadectwem, że odbudowa polskiej myśli państwowej uwzględnia ogromne potencjały religijne narodu i że polska świadomość polityczna potęguje się w miarę gruntowania się zasad chrześcijańskich w naszej państwowej rzeczywistości. Widzę w tym niezawodną zapowiedź wielkości, bo wierzę, że Polska całkowicie zbudowana na wiecznym prawie Chrystusowym przed innymi ziści w sobie nieskazitelny ideał państwowy i w taką urośnie powagę, że jako czynnik światotwórczy sięgnie po wybitny udział realizacji planów Opatrzności w kształtowaniu nowych czasów."

Słowa Prymasa znajdą oddźwięk w sercu Narodu. Za sprawą narodu tylko stać się może, aby stosunek, w przemówieniu tym zaznaczony, znalazł oparcie w szczerej wzajemności.

„ZŁOŚĆ ŻYDOWSKA"

POD powyższym tytułem ukazała się we Lwowie w r. 1758 książka, której autorem jest Bernardyn O. Gaudenty Pikulski. Już w r. 1760 ukazało się jej drugie wydanie w drukarni „Jana Schlichtyna J. K. M. uprzywilej. typografa". Zawiera ona niezmiernie charakterystyczne oświetlenie kwestii żydowskiej w Polsce. W dzisiejszej dobie nabiera pełnej aktualności i do zrozumienia istoty sprawy żydowskiej w Polsce może być bardzo pomocne.

(Część I. rozdział I. „O początku Talmutystów" cap. XIV *et sequ.*)

......XIV. Po rozproszeniu Sanhedrin, a potym za czasem y po zburzeniu Jerozolimy od Tytusa, gdy się Zydzi rozproszyli po całym świecie, więcey i gorszych namnożyło się Talmutystów, ponieważ przedtym wraz 72. zgromadzonych Osob mogli mieć lepsze rozeznanie; jeżeli pobłądził, to go drugi mógł poprawić. Przytym niepodobna, ażeby w takiey liczbie ludzi, między złemi nie było y dobrych. Potym gdy każdy mędrek w swoyey Synagodze pisał Talmut według swoyey myśli y zdania osobliwego, czy może bydź co dobrego?

XV. Talmuty te, które należą do obrządku Świąt, Prawa starozakonnego, wyrozumienia Pisma i Proroków, o przyiściu Messyasza, o znakach narodzenia, o dzielności y obyczaiach Iego, o czasie kiedy miał przyiść; ieszcze przed narodzeniem Chrystusa P. były napisane, y z nich częste odbywały się w Kościele Jerozolimskim dysputy między Faryzeuszami y starszyzną, na którą sprzyczkę trafił y Chrystus Pan w roku dwunastym życia swego, na którey się zabawił przez dni trzy, dowodząc Arcykapłanom że już przyszedł Messyasz y był pośrzodku nich, oni iednak tego przy uporze swoim nie chcieli zrozumieć.

XVI. Inne zaś Talmuty przeciwko miłości Bliźniego żeby dzieci Chrześciańskie zabiiać, żeby Chrystusa Pana bluźnić etc. są wydane od partykularnych Rabinów po śmierci Pańskiey. Lubo są y inne Talmuty do obrządkow służące cale odmienne od pierwszych, gdyż teraz ani Kościoła, ani Ofiary, ani Arcykapłana niemaią, przy iednym tylko z Pisma S. zostali się obrzezaniu y Sabbasie, y to nie z iednakowym uszanowaniem dla różnych Talmutów. Karaimowie inaczey, iedni drugich ganią y przeklinaią, a iak ci, tak y tamci są przeklęci od BOGA.

XVII. Klemens VIII. W Roku 1593, uważaiąc złość Talmutystów, codziennie prawie przyczyniających na Chrześcian opisywanie swoie, uczynił Konstytucyą, ażeby Zydzi Talmutów swoich pełnych kłamstwa y bluźnierstwa nietylko nie drukowali, ale też y nie czytali, które Talmuty wylicza w swoim regestrze; ktoby zaś te księgi Zydowskie mógł dostać, ażeby ich *ad Officium inquistitionis* zaniósł, gdzieby były spalone. Jakoż w samym Mieście Bergona nazwanym, około dziesięciu tysięcy takich Talmutowych Ksiąg publicznie spalono za rozkazem tego Papieża. Pisze Piasecki *ad annum* 1593. *folio* 132.

Toż samo postanowił Innocenciusz III, Mikołay IV, Grzegorz XIII y Alexander III który pod wielką karą zakazał wszystkim Chrześcianom ażeby nie służyli Zydom, ani

też im dla Harędy albo iakiego inszego zysku Panowie nie dawali do usług poddanych; co się inaczey u nas praktykuie w Polszcze.

XVIII. Zadziwił się mocno teraźnieyszy Oyciec S. Benedykt XIV gdy się dowiedział o tak wielkiey wolności w Krolestwie Polskim dla Zydow, y z Pasterskiey swoiey opieki około trzody Chrystusowey napisał list do Arcy Biskupow y Biskupow Polskich w Roku 1751 ktory się zaczyna *A quo primum* etc. w ktorem pochwaliwszy w przod stateczną y w niczym nienaruszoną wiarę Katolicką w Polszcze, te nam szczegolnie naganę przyznaie, że aż nazbyt protekcyą żydom Panowie daią Polscy. Wyraża w tym liście, że w każdym Mieście y Miasteczku Polskim większa iest liczba Zydow, aniżeli Chrześcian, że w karczmach y Harędach Zydzi maią sobie excypowanych poddanych etc. zkąd pochodzi że słudzy żydowscy ani Świąt Uroczystych bez pracy zachować nie mogą, ani obrządków wiary Katolickiey. Idzie za tą wolnością że my Polacy bardziey iesteśmy u żydow w niewoli a niżeli oni u nas. Uważmy tylko ieżeli tu iest iaki znak niewoli Żydowskiey: maią wolne handle, nawet wina, co iest przeciwko Konstytucyi Polskiey, maią druk wolny bez żadney rewizyi Zwierzchości Duchowney, służą im Katolicy, etc. Cóż to iest za niewola? Odprawują według woli swoiey święta y Sabbasze z publicznym krzykiem y przeklętemi ceremoniami, w ktorych bluźnią Imię Zbawiciela; y nas samych przeklinaią, iako się z inkwizycyi pokazało w Kamieńcu, my na to milczemy. Moy Boże: co odpowiemy na sądzie Pana Boga, gdy nam wymawiać będzie, y pytać się surowo: Jakim my Prawem mogli przedawać Honor Zbawiciela naszego? nierozumiem a żeby sprawiedliwość Pana BOGA takich ludzi, y na tym ieszcze świecie niemiała karać, ktorzy temu przeklętemu od BOGA narodowi daią protekcyą. Zważmy tylko sami Katolicy co czyniemy? To kiedy Krol się na kogo rozgiewa, my z nim dla podeyrzenia niechcemy y mowić; a kiedy BOG sprawiedliwy (ktory nas może w momencie zniszczyć) rozgniewał się na Zydow, my się na to nie oglądaiąc broniemy ich, opiekuiemy się niemi *turpis lucri gratia*, iako przemawia Apostoł *ad Titum cap. I.* a iest że totu sumnienie y boiaźń Pana BOGA? poyść przeciw woli Iego? za kilka tysięcy złotych przedawać Honor Boski, zbawienie Duszy y błogosławieństwo Pana BOGA? To mogł Krol Hiszpański wygnać z całego Państwa swego te parchy, nieoglądając się na znaczna długi od nich zaciągnione? a Polak tysiąca iednego ustąpić nie chce dla BOGA? To tu Pan BOG ma błogosławić? zniszczenie przytym grosza za czasem cała fortuna, kiedy Pan BOG słusznie urażony umknie łaski swoiey. Zdaie się to nic, dawać Zydom protekcyą w drukowaniu y czytaniu Talmutow, ale przeczytayno w drugiey Części, co oni tam drukuią w tych Talmutach swoich? iakie to tam przeklęstwa na BOGA y Zbawiciela naszego? To to prawowiernego Katolika sprawka dawać miecza nieprzyjacielowi na Boga y Odkupiciela swego? Niechay kto chce osądzi.

przepisał ADAM MACIELIŃSKI

NAUKA i LITERATURA

ZE ŚWIATA NAUKOWEGO

W r. 1933 powstało w Tarnopolu Podolskie Tow. Przyjaciół Nauk. Pierwsze sprawozdanie zarządu złożone w d. 23 czerwca walnemu zebraniu, świadczy o szybkim rozwoju początkowych prac T-wa.

W okresie sprawozdania T-wo wydało dwa dzieła: „Konfederacja Gołąbska" Przybosia i „Orientalizm Antoniego Langego" p. Machalskiego. W druku znajduje się rozprawa d-ra Józefa Gajka p. t. „Etnografia Podola". Ponadto Tow. przygotowuje nowe wydawnictwo „Rocznik Podolski", który zawierać będzie artykuły i prace z zakresu geografii, przyrody, życia gospodarczego, etnografii, archeologii, historii i dziejów kultury Podola oraz opisy miejscowych zabytków.

Zarząd Tow. urządzał ponadto odczyty, zapraszając na prelegentów profesorów i docentów szkół wyższych. Odbyły się następujące odczyty: „Stan badań etnograficznych na Podolu" (prof. dr. A. Fischer), „Geologia Podola" (prof. Zdzisław Pazdro), „Klimat jaru Dniestru z punktu widzenia medycyny" (doc. dr. A. Sabatowski, „Architektura kościoła dominikańskiego" (prof. M. Gębarowicz). T-wo posiada już zaczątek własnych zbiorów muzealnych i bibliotecznych.

RUCH WYDAWNICZY

Dr. Wojciech Jedlina-Jacobson. „Z ludem wielkopolskim przeciw zaborcom. Wspomnienia". Toruń 1937. Nakł. autora.

Wśród wspomnień z wojny światowej i walk o niepodległość, najmniej zostało ogłoszonych wspomnień z walk w Wielkopolsce i na Pomorzu, a to spowodu, że walki te podjął gołemi rękami prosty lud miejski i wiejski.

Autor powiadamia i w sposób szczegółowy zapoznaje z atmosferą uczuć ogółu, z osobami przygodnych bojowników i przywódców ruchu, i z miejscowościami w których samorzutnie wzięto się za bary z regularną armią niemiecką. Stało się to wówczas, gdy Naczelna Rada Ludowa, złożona z domorosłych polityków „nie zdobyła się na żaden stanowczy krok w sprawie Powstania. Nie zapadły żadne decyzje o rozszeniu tego ruchu na cały zabór pruski, nie odważono się na zlikwidowanie niemieckich załóg na przedmieściu Poznania, a także nietknięto nawet załogi w koszarach podmiejskich".

Rozpoczęły się samorzutne rozbrojenia niemieckich komend i garnizonów, bezładna strzelanina, rozmowy z dowódcami niemieckimi, wreszcie pęd ku planowej walce, najpierw z Gniezna, zjednał coraz szersze masy.

W toku opowiadania nagromadził, nawarstwił autor tyle zdarzeń, tyle przez karty książki przesuwa się sylwet osób, działań taktycznych i organizacyjnych, że nie sposób jej streścić. Każdy dzień płonął ogniem zapału i ofiary aż do zwycięstwa. Kronikarz, „po latach milczenia i nieubiegania się o zaszczyty i synekury", dobył z przeszłości dzieje zmagań się z odwiecznym wrogiem, nazwiska i czyny zapomnianych bohaterów.

Wspomnienia „Z ludem wielkopolskim przeciw zaborcom" opatrzone są w mapę i liczne fotografie. Do historii walk o niepodległość są przyczynkiem pełnym znaczenia. (A. W.)

*

Franciszek Mauriac. „Czarne anioły". Warszawa 1936. Tow. wyd. „Rój". Str. 228. Z upoważn. autora przeł. H. H.

Mroczny świat mauriacowskich medytacyj nad zbawieniem lub potępieniem duszy ludzkiej został tym razem mocniej niż kiedykolwiek, w bardziej nieoczekiwanie kontrastowy sposób rozświetlony błyskiem nadziei i miłosierdzia.

...Zgodnie z nauką o łasce, która jak olśniewające natchnienie przez upragnioną wizję lepszego, przeczuwanego świata zmusza najbardziej opornych, od Boga oddalonych, do zapragnięcia Go z siłą równą poprzedniej nienawiści.

Dusze, co popadły w moc upadłego anioła, których wewnętrzną prężność wykorzystuje jego potęga, prędzej niż ktokolwiek inny: niż przeciętnie uczciwi ludzie, są zdolne do widzenia świata nadprzyrodzonego. Wciąż słysząc wyraźny,

zdradziecki podszept „wroga", tem pełniejszą — *a contrario* niejako—mają świadomość bytu Boga. I dlatego, co w stosunku do owych, „patentowanyah" zdałoby się potępieńców, brzmi paradoksalnie, tem większą staje się ich szansa osiągnięcia szczytów świętości, niezdobytych dla normalnych w swym rozwoju jednostek. Inaczej nie bylibyśmy w stanie pojąć istoty nawrócenia Gabriela Gradère u schyłku tego burzliwego, mrocznego żywota — bez żadnej zasługi czy zadośćuczynienia ze strony grzesznika. Możnaby tu, coprawda mówić o sakramentalnej sile sile przyciągania Konfesji i niesłychanej mocy narzędzia zbawiennego wpływu, jakim stać się może w ręku prawdziwie duchowego kapłana — z typu Alana Forcas, znanego nam już z „Powrotu do Boga".

Jeśli przygnębiająco wypadł na kartach książki wizerunek współczesnej Francji, to jednak godną jest ocalenia—dla czystej i mężnej postaci młodego księdza, borykającego się nietylko z antyklerykalną nienawiścią, w najlepszym razie oziębłością, parafian, ale i z własnem, niewygasłem wnętrzem.

Jakże tragiczną, na wsi francuskiej dość częstą, bywa sytuacja celebransa bez współuczestników bezkrwawej ofiary, nierzadko pozbawionego nawet ministranta, pasterza, któremu się rozpierzchły owieczki, wiernie przecież, po żołniersku trwającego na zleconym posterunku z myślą o przyszłości, którą zdobyć przezwyciężeniem niekształtnego d z i s i a j—oto szczytne zadanie młodego pokolenia.

Alan Forcas i w innym sensie ratuje sytuację powieściową: w ogromnym pałacu w Liogeats niema bodaj ani jednego mieszkańca, którego duszy nie toczyłby, nie podgryzał jej korzeni podjadek grzesznej słabości. Czy to będzie tak typowy dla tamtejszych stosunków ciułacz i groszorób o brudnej duszy skąpca, Desbats, czy trawiony (świętokradczą?) namiętnością do siostry księdza Forcas, Andrzej Gradère, czy wreszcie Matylda Desbats, współuczestniczka niejako zbrodni Gabriela, choć formalnie nie obciążona żadnym zarzutem... iżby się miała zeń spowiadać. — Każde z nich to znakomite studium portretowe do uniwersalnego wizerunku z czołem przeciętem głębokimi zmarszczkami zwątpienia i pełnym wewnętrznej udręki grymasem twarzy. Na tle takiego otoczenia — Alan Forcas, kapłan o typie świętego ascety, z duszą jednocześnie świeżo promowanego podchorążego.

W nim odnajduje drugi przedstawiciel młodych Andrzej duchowego sprzymierzeńca i przyjaciela, jemu dotrzyma słowa.

Symbolicznie, akordem pojednania tych dwuch i zbratania zamyka się utwór. (ST. J.)

*

W a n d a K a r c z e w s k a. „Ludzie spod żagli". Warszawa 1937.

Tegoroczna nagroda morska im. Szareckiego została przysądzona przez Tow. Dziennikarzy i Literatów Wandzie Karczewskiej za „Ludzi spod żagli". Powieść ta odmalowuje: morze, żaglowiec i ludzi, na nim będących. Autorka, będąc, zdaje się, pierwszą polką i pisarką, która jako członek załogi, odbyła długie podróże dalekomorskie na jachtach, zna świetnie żywioł, który opisuje, statek, który odbywa rejsy, i ludzi, którzy stanowią załogę okrętową. Z natury rzeczy, odbić się musiał pewien wpływ Conrad'a (zagadnienia psychologiczne) i London'a (opisy przyrody). Obrazy morza (burza i cisza) są doskonałe, życie na żaglowcu z jego codzienną pracą jest odrysowane wyraziście, charaktery ludzkie (drugi oficer, Polak Doliwa, oraz marynarz Lar Olafson) nakreślone dobrze. Życzyć należy autorce dalszych prac w tym kierunku. (W. H.)

NOWE KSIĄŻKI

Państw. Wyd. książek szkolnych we Lwowie wydało z datą 1937:

D y b c z y ń s k i Tadeusz. W poprzek Sybiru. Powieść podróżnicza. Wyd. II.

M a n t e u f f e l Jerzy. Książka w starożytności. Z 26 ilustr. Str. 121.

Ś l i w i ń s k i F. Jaką wybrać szkołę. Praktyczne informacje. Str. 80.

B i l i ń s k i Jan. Ćwiczenia słownikowe. Str. 120.

S c h m u c k Adam. Z Pińska do Augustowa kajakiem. Str. 89.

R y b c z y ń s k i Miecz. Wisła od źródeł do morza. Drogi wodne i porty. Z ilustr. i map. S. 75.

Ś l i w i ń s k a Ewa. Historia naszych zbóż. S. 95.

M i c h a ł o w s k i Kaz. Delfy. Z 83 ilustr. S. 160.

WARTOŚCI DUCHA MUSSOLINIEGO

GDYBY mi kazano odpowiedzieć w tak modnych dzisiaj ankietach na temat: jaką najciekawszą książkę przeczytałem w ostatnich czasach, nie wahałbym się ani chwili z twierdzeniem, iż tą książką są myśli wyjęte z pism i przemówień Benita Mussoliniego, zawarte w pracy p. Macieja Loreta p. t. „Wartości ducha" [1]). Tak się złożyło, iż po powrocie z Włoch, gdzie bawiłem w okresie wielkanocnym, pierwszą książką, jaką przeczytałem i z jaką po dziś dzień się nie rozstaję, często do niej zaglądając, są właśnie „Wartości ducha" Mussoliniego.

Nie ukrywam, iż Włochy na mnie wywarły wielkie wrażenie, zwłaszcza, że niemal na każdym kroku dzisiejsze Włochy przypominają turyście, jak wiele zawdzięczają wskrzesicielowi nowoczesnego imperium rzymskiego. Z tem większą zatem skwapliwością zabrałem się do lektury książki, której autorem jest sam Mussolini. Praca bowiem wydawcy, zasłużonego krzewiciela kultury włoskiej w Polsce, p. Loreta, ograniczyła się — i być może słusznie—do wybrania myśli z pism i przemówień wodza Włoch. Wydawca świadomie skupił uwagę na pewnej dziedzinie tylko—powiedzmy odrazu—na dziedzinie najważniejszej, co podkreślił w tytule.

Są to w a r t o ś c i d u c h a Mussoliniego. Pan Loret wyraźnie zaznacza w przedmowie, iż „czytając i rozważając niniejszą broszurę, spostrzegamy, że obecne poglądy Mussoliniego na religię, na stosunek Kościoła do państwa, na rodzinę i na cały szereg problemów społecznych i moralno-życiowych są w zgodzie z nauką katolicyzmu, w którym upatruje on źródło jednolitej siły swego narodu i umocnienie podstaw państwa.

Dotknął więc wydawca najciekawszych, a skądinąd i najdrażliwszych zagadnień naszych czasów. Przecież z założenia tej pracy wynika, iż chodzi o zagadnienie stosunku nacjonalizmu do katolicyzmu.

Duce jest dzisiaj sztandarowym przedstawicielem walczących o nowe oblicze Europy kierunków narodowych. Czerwony „front ludowy", a mówiąc prościej — żydo-komuna utożsamia obecnie nacjonalizm z faszyzmem. Dzień w dzień jesteśmy świadkami na zebraniach, w prasie, podczas manifestacyj ulicznych wszechstronnej propagandy przeciwko faszyzmowi. W toczącej się walce dwu światów strona żydowsko-komunistyczna uprościła swe stanowisko do hasła „precz z faszyzmem". Mało tego, świat żydowsko-komunistyczny, swoim zwyczajem, w walce z przeciwnikiem nie przebiera w środkach. Nie oszczędzono więc, co jest swoistą pikanterią, Mussoliniemu zarzutu braku uczuć katolickich, a nawet nieszczerości i obłudy wobec katolicyzmu. Pomijam już tę dziwną gorliwość żydków o czystość uczuć religijnych katolików..., a zwracam uwagę na fakt bezsporności

[1]) „Wartości ducha", myśli wyjęte z pism i przemówień Benita Mussoliniego, str. 64, nakł. Księgarni i Drukarni Katolickiej S. A. Katowice. Cena zł. 1.50.

i oczywistości zdecydowanego stanowiska katolickiego Mussoliniego.

Właśnie „Wartości ducha” są świetnym dokumentem katolicyzmu wodza narodu włoskiego. Dzięki układowi pracy wydawcy, niemal jak w encyklopedii, możemy szybko zaznajomić się z poglądami Mussoliniego na doniosłe zagadnienia, jak: Bóg, chrześcijaństwo, charakter, czyn, dobroć, duch, faszyzm i katolicyzm, Italia i katolicyzm, kapelani, karność, kler, kobieta, Kościół i państwo, kryzys moralny, kwestia rzymska, masoneria, materializm, miłosierdzie, młodzież, modlitwa, moralność, Msza św., nauka i wiara, prawo i obowiązek, Ojczyzna, opinia publiczna, Pius XI, pokora, praca, prasa, przebaczenie, przyjaźń, religia i Ojczyzna, religia i mąż stanu, rozwód, solidarność, studia, styl faszystowski, szkoła, wiara, własność, wolność i t. p.

Wyliczone powyżej tematy świadczą same za siebie o głębokości i wszechstronności zainteresowań Mussoliniego, a treść jego poglądów dowodzi olśniewającej inteligencji, mądrości i polotu ducha Mussoliniego. Wielkość ducha Mussoliniego bije z każdego sądu, z każdego powiedzenia. Duch jego nie ślizga się tylko po sprawach zewnętrznych, nie ogranicza się tylko do mechanicznego i formalnego stosunku wobec świata, a szybuje po głębinach ducha.

Tak, jak ongiś Słowacki głosił, iż „wszystko dla ducha i przez ducha stworzone jest, a nic dla cielesnego bytu nie istnieje”, tak też i Mussolini oddaje prymat duchowi, wyznając:

„Jeśli jest prawdą, że materia przez cały wiek była na ołtarzu, to dziś jej miejsce zajął duch. Wszystkie twory ducha, począwszy od religijnych, występują na pierwszy plan i nikt już nie odważa się być spóźnionym antyklerykałem, co przez dziesiątki lat w świecie zachodnim stanowiło ulubione zajęcie demokracji... Gdy się mówi, że Bóg wraca, stwierdza się przeto, że i wartości ducha wracają”.

Przy takiej postawie wobec świata zrozumiała jest i polityka, której szczerości nikt w wątpliwość poddawać nie może, wobec Kościoła rzymsko-katolickiego. W logicznej rzeczy kolei musiało nastąpić uregulowanie t. zw. kwestii rzymskiej za pomocą paktów lateraneńskich z 1929 r. Jasne i zrozumiałe jest też wyznanie:

„Twierdzę, że tradycję łacińską i imperialistyczną Rzymu przedstawia dziś katolicyzm. Jeżeli, jak mówił Mommsen, nie przebywa się w Rzymie bez idei uniwersalnej, to sądzę i twierdzę, że jedyną ideą powszechną, która istnieje dziś w Rzymie, jest ta, która promieniuje z Watykanu”.

Tylko w ustach b. działacza socjalistycznego, który sam przebył dziecięcą chorobę materializmu, mogą znaleźć się tak dojrzałe słowa, wyrażające pogląd na człowieka:

„Człowiek ekonomiczny nie istnieje. Istnieje człowiek zupełny, t. j. polityczny, ekonomiczny, religijny, święty, wojownik”.

Z narodowego i wyraźnie katolickiego poglądu na świat musiała wypłynąć zdecydowana walka z masonerią i reprezentowaną przez nią ideologią. Mussolini, jak mało kto, zdaje sobie sprawę, czem jest dla narodowego i katolickiego porządku rzeczy masoneria. Dlatego też wydał jej, jak i ona jemu, nieubłaganą walkę, w której nie zanosi się na stosowanie z którejkolwiek strony pardonu. Cała działalność Mussoliniego, jego charakter, dobrze usprawiedliwiają jego słynną postawę wobec masonerii:

„W moim życiu są wytyczne zasadniczej natury: jedną z nich jest wstręt do masonerii”.

Mussolini, jak widzimy, żyje intensywnem życiem wewnętrznem, duch jego ustawicznie pracuje. Tem się tłumaczy, iż jako człowiek ściśle zrośnięty z prastarą tradycją swego narodu, pierwszego w świecie narodu katolickiego, jako przedstawiciel starorzymskiej cywilizacji, ma Mussolini wszelkie dane potencjalne na katolika, a sam doświadczeniem losu swego żywota, swą drogą od socjalizmu do nacjonalizmu, swem życiem rodzinnem, wreszcie żywym przykładem swego ukochanego brata i współpracownika Arnolda, gorącego katolika, o którym z taką czułością braterską wyraża się w swych o nim wspomnieniach, musiał dojść i rzeczywiście doszedł Mussolini do stanowiska praktykującego i czynnego katolika.

Może to tylko zbieg okoliczności, ale przy lekturze „Wartości ducha” Mussoliniego nasuwała mi się refleksja o uderzającem podobieństwie stanowiska Mussoliniego ze stanowiskiem Dmowskiego w sprawach Kościoła rzymsko-katolickiego. Przecież Roman Dmowski w swej głośnej pracy programowej z czasów Obozu Wielkiej Polski, p. t. „Kościół, naród i państwo” sformułował stosunek polskiego ruchu narodowego wobec katolicyzmu.

„Polityka narodu katolickiego musi być szczerze katolicką, to znaczy, że r e l i g i a, jej rozwój i siła musi być uważana za c e l, że nie można jej używać za środek do innych celów, nic wspólnego z nią nie mających”.

Należę do pokolenia, które opiera swój pogląd na świat na przesłankach idealistycznych, do pokolenia, które dlatego jest i katolickie i narodowe. Cieszę się więc, że podobnie jak polski ruch narodowy, tak samo i ruch faszystowski, dzięki osobistym walorom Mussoliniego, zajmuje takie same stanowisko, jak i my. „Wartości ducha” Mussoliniego dowodzą tego niezbicie.

STEFAN NIEBUDEK

NA MARGINESIE

Stwierdzono, że członkowie Akademii Literatury bardzo mało udzielają się literaturze. Może uposażenie to sprawia, że nie potrzebują zarobkować, a może nie mogą pisać z powodu nadęcia.

Plebs literacki bardzo jest zadowolony, że liczba akademików będzie powiększona do 21. Będzie mniejsza konkurencja. Z drugiej strony miłośnicy literatury martwią się. Niechże—powiadają—Akademia dobierze jeszcze paru członków, a literatury już wcale nie będzie.

*

Ktoś, słysząc powyższy wywód, powiedział:

— Tak się mówi: mało piszą. A czytaliście ostatnie dzieło Sieroszewskiego, prezesa Akademii?

— Jakie dzieło?

— A ten list, domagający się aresztowania ks. arcybiskupa Sapiehy. Czyż nie byłoby lepiej, żeby wcale nie pisał?

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. **9**, półrocznie zł. **17**, rocznie zł. **32**, zagranicą kwart. zł. **12**, półroczn. zł. **24**, rocznie zł. **45**.
Konto czekowe na P. K. O **3.105**.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205.80 PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM.